Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 21. Grudnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 47.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

KOMEDJA Z POMYŁEK.

SZKIC Z ŻYCIA AMERYKAŃSKIEGO,

napisał

LITWOS.

WSTĘP.

Wypadek, który posłużył mi za przedmiot do niniejszego szkicu, miał podobno istotnie miejsce w jednem z amerykańskich miasteczek. Czy zdarzył on się na wschodzie, czy zachodzie, nie mogłem się dopytać i naprawdę nic nikomu na tem nie zależy. Być może także, że jaki nowelista amerykański lub niemiecki skorzystał już z niego poprzednio, co, według mego zdania, powinno być równie obojętne dla czytelników, jak i kwestja miejscowości.

Korzystając ze swobody autorskiej, opowiadam rzecz, jakoby się działa w Kalifornii; przytem będę się starał podać kilka charakterystycznych rysów z tutejszego małomiejskiego życia.

Zdarzyło się przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa z celem wyzyskiwania nowo-odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite maszyny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły; pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość *Struck Oil* i po niejakim czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały kojoty, stanęła osada złożona z kilkudziesięciu domów, i zamieszkana przez kilkuset robotników.

W dwa lata później, Struck Oil, nazywało się już: *Struck Oil city*. Jakoż było to już „city“ w całem znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik, i doktor Francuz, który, w swoim czasie, we Francji brody golił, ale zresztą człowiek „uczony“ i nieszkodliwy, — co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktor, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach, trzymał zarazem aptekę i pocztę; miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nie szkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptece jego można było dostać tylko dwóch lekarstw: syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacjentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam takąż samą dozę, bo rozumuję sobie, że jeśli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. — Czy nie prawda?

— Prawda! — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest, nietylko nie zaszkodzić choremu, ale pomódz.

Pan Daconville – tak się nazywał doktor — wierzył jednak szczególniej w cudowne skutki leroa. Nieraz, na mityngach, zdejmował kapelusz z głowy, i zwracając się do publiczności, mówił: „Panowie i panie! przekonajcie się co to jest leroa! Mam lat siedmdziesiąt; czterdzieści lat, jak zażywam codzień leroa i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogliby znowu zauważyć, że doktor nie miał wprawdzie ani jednego włosa siwego, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale, że uwagi podobne w niczem nie przyczyniłyby się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono więc ich wcale.

Tymczasem, Struck Oil city rosło i rosło. Po upływie dwóch lat, przeprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto miało już swoich urzędników wybieralnych. Doktor, którego lubiono powszechnie, został jako przedstawiciel intelligencji, sędzią; szewc — żyd polski, mister *Devis* (Dawid) szeryfem, t. j. naczelnikiem policji, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę której kierunek objęła umyślnie sprowadzona „School Ma'am“ przedwieczna dziewica, mająca wieczną fluksję; nakoniec stanął pierwszy hotel pod nazwą: United States Hotel.

„Business“ ożywił się także niezmiernie. Wywóz nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister Devis kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklaną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewskie w San-Francisco. Na następnym mityngu, obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu Devis za tę „nową ozdobę miasta“ — na które mister Devis odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: „Thank you! thank you! Oj—wej!“

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają sprawy. Wymaga to pisaniny i papieru, — zatem, na rogu Cojotes street i 1-szej, powstało „stationery,“ tj. skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta, w postaci chłopca dojącego krowę, która z kolei miała przedstawiać Stany Zjednoczone Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale zabraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policji nie należy.

Ale nie koniec jeszcze na tem. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo, pod tytułem: „Saturday Weekly Review“ (Przegląd Sobotni-Tygodniowy), liczące tylu prenumeratorów, ilu było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek

przychodził mu tem łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzało mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: „Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w zeszłym numerze i t. d.“

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w błogosławionem Struck Oil city. Prócz tego,—ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością, ani grubemi obyczajami, cechującemi poszukiwaczy złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o „lynchu“ ani było słychać; życie płynęło spokojnie — jeden dzień podobny był do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się „businessem“, wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach, i jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palić śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi przelatujących wieczorami nad miastem. Prawa miejskie zabraniają strzelać na ulicach: „Żeby to była jaka parszywa mieścina, mawiał szeryf, — no! to nie mówię; ale w takiem wielkiem mieście: pif! pif! pif! paf!— to jest bardzo nie pięknie!“

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali: „o yes!“ ale, gdy wieczorem na zarumienionem niebie pojawiły się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad Ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin, i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Davis mógł wprawdzie zaprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie, ale nie trzeba zapominać, że winni byli zarazem w razie choroby pacjentami doktora a, w razie podarcia trzewików, gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, jak w niebie — nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Grocernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do grocerniczki, a grocerniczka do grocernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się: „grocery“.— Grocery tedy, czyli grocernia, jest to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszów, cygar, mioteł, guzików, ryżu, sardynek, koszul, słoniny, nasion, bluz, spodni, szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb, — słowem wszystkiego czego człowiek może zapotrzebować. Z początku, była tylko jedna grocernia w Struck Oil city. Trzymał ją Niemiec, imieniem Hans Kasche. Byłto sobie flegmatyczny Niemiec, rodem z Prus, miał lat trzydzieści pięć i wyłupiaste oczy, nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta, i fajki nigdy nie wypuszczał z zębów. Po angielsku umiał tyle, ile potrzeba pyło do „businessu“—zresztą ani w ząb. Handel jednak prowadził dobrze, tak, że po roku mówiono już w Struck Oil city, że „był wart“ kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak pojawiła się druga grocernia. I dziwna rzecz! Pierwszą trzymał Niemiec, drugą założyła Niemka. Kunegunde und Eduard, Eduard und Kunegunde! Zaraz tedy rozpoczęła się między obiema stronami wojna, rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli, jak się sama nazywała: „Niumen,“ dała na powitalny „lunch“ placki, pieczone z mąki pomieszanej z sodą i ałunem. Byłaby tem zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinji obywateli, gdyby nie to, iż, i sama utrzymywała i stawiała świadków, że, ponieważ jej mąka nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hansy Kasche jest zazdrośnik i nikczemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoją rywalkę w opinji publicznej. Zresztą, było do przewidzenia, że dwie grocernie będą rywalizować ze sobą, ale nikt nie przewidywał, że rywalizacja przejdzie w straszną nienawiść osobistą. Nienawiść ta posunęła się wkrótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wtedy, gdy wiatr wwiewał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa, jak „Doczmen“ (Niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę. Z początku, mieszkańcy śmieli się z obojga, tem bardziej, że żadne nie umiało po angielsku. Powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocerniami, wytworzyły się w mieście dwie partje: Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywem okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitej Struck Oil City i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania. Głęboki polityk, mr. Devis, pragnął leczyć złe u źródła, więc starał się pogodzić Niemkę z Niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy, i mówi do nich ich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie kłócić? Czy to nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całem San Francisco nie ma lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niedługo będzie bez butów chodził, — przerywała kwaśno panna Neuman.

— Ja nie robię sobie kredytu nogami,— odpowiadał flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, chociaż Niemka, miała istotnie piękne nogi, więc takie przycinki napełniały jej serce śmiertelnym gniewem.

W mieście, dwie partje poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman; ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła sie na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grocernia zaledwie mu się opłaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej Niemki, i za każdym sprawunkiem siedzą zadługo.

Gdy nikogo niebyło w żadnym z sklepów, Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenie pełne zajadłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie pod nosem na nutę: mein lieber Augustin:

— Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do—Doczmen—men!

Pan Hans patrzył na jej nogi, potem na figurę, potem na twarz, z takim wyrazem, z jakimby patrzył naprzykład na zabitego przed miesiącem kojotę; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— By God!

Nienawiść w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że gdy rano ukazał się przed drzwiami, a panny Neuman nie było —kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już miałyby miejsce między nimi pewne zajścia czynne, gdyby nie to, iż Hans był pewny przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tem bardziej, że panna Neuman miała za sobą redaktora „Saturday Weekly Review.“ — Hans przekonał się o tem, gdy rozpuścił wieść, że panna Neuman nosi biust sztuczny. Było to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w „Saturday Weekly Review“ pojawił się pioranujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach „Doczmenów,“ kończył zapewnieniem uroczystem, jako „dobrze poinformowany,“ że biust pewnej spotwarzanej lady, jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał co rano czarną kawę zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale zato, panna Neuman brała stale dwie porcje. — Prócz tego, kazała sobie uszyć krawcowi suknię, w której forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcą.

Hans, wobec chytrości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem Niemka, stając przed sklepem każdego ranka, śpiewywała coraz głośniej:

— Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen, Do—Doczmen—men.

— Co ja jej mogę zrobić? — myślał Hans. — Mam zatrutą pszenicę na szczury — choćbym też jej kury wytruł? Nie! Każą mi zapłacić! Ale wiem co zrobię!

I wieczorem, panna Neuman, ku wielkiemu swemu zdziewieniu, spostrzegła pana Hansa, znoszącego pęki dzikich słoneczników i układającego je, jakoby ścieżkę, pod zakratowanem okienkiem piwnicy. — „Ciekawam co to będzie?“—myślała sobie. — „Pewno coś przeciw mnie!“—A tymczasem ściemniło się.— Pan Hans ułożył słoneczniki w dwie linie, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem, obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru, i począł kreślić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze,—myślała — ale niech tylko wszyscy spać pójdą, pójdę zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans skończywszy robotę, poszedł na górę, i wkrótce zgasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła naprędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jej wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jej się najprzód bolesne: „Aj! aj!“ potem zaś rozpaczliwy okrzyk: „Ratunku! Ratunku!!!“

Okno na górze podniosło się do góry.

— Was ist das? — rozległ się spokojnie głos Hansa. — Wer ist da?

— Doczmanie przeklęty! — wrzeszczała panna — zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę— rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku. Spojrzał na pannę Neuman, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Co to? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! ha! Zastawiłem żelaza na skunksy, a złapałem pannę! Po coś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na scianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą; niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmana. O mein Gott! krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc.

Położenie panny Neuman było okropne. Krzyczeć? ludzie się zlecą — kompromitacja! nie krzyczeć? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?... A tu noga boli coraz bardziej... W głowie jej się zakręciło, gwiazdy pomięszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa—zemdlała.

— Herr Je! — wykrzyknął do siebie Hans—jeśli umrze, to jutro „zlynczują“ mnie bez sądu.

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czempręd-zej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny Neuman. Trzeba było go trochę zawinąć i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucania oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swej nieprzyjaciółki, oświecone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość. Otworzył prędko żelazo, a że panna nie poruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potem wrócił do siebie, i całą noc nie mógł oka zmrużyć. (Dok. nast.)

W BAŁKANACH

Opowiadanie z czasów ostatniej wojny wschodniej

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

(Dokończenie).

W Sofji, rozległem mieście, prześlicznie położonem na obszernej pagórkowatej równinie pod wspaniałą górą Witoszem, ruch był niesłychany; na każdej ulicy tłum konnych i pieszych, szeregi wozów z mąką, sieczką, sianem, sucharami, amunicją; koszary zamienione w szpitale; budowle rządowe i większe prywatne zajęte rannymi; wszędzie krzątają się lekarze z białemi na rękawach opaskami naznaczonemi czerwonym krzyżem i półksiężycem.

Nędza i głód tysięcy ludzi pozbawionych mieszkania i dobytku; widok długich konwojów rannych, na wozach ledwie trochę mających słomy; twarze śmiertelną okryte bladością, mówiące z rezygnacją: „za godzinkę skończę wszystkie boleści!“ O panie moje! ten obraz krwawo wypisał się na wieki w mojej pamięci. Biedny jeden żołnierz zawołał mnie do woza wolno ciągnionego przez bawoły: „zrób mi cygaretko“, zrobiwszy je chciałem mu zostawić paczkę tytoniu: „effendim niech ci Ałłach zapłaci, ale to za wiele! zrób jeszcze jedno cygaretko, wystarczy mi do tamtego świata“. Biedny i tego nie skończył, z dymem niedopalonego uleciała dusza walecznego! Stami przesuwali się przed oczami mojemi ciężko ranni, bez skargi, z pogodnem choć zbolałem obliczem; gdybym na czołach tych żelaznych ludzi nie widział piętna najwyższej rezygnacji, powiedziałbym, że to zwierzęta, nie wiedzące, że są w objęciach niezbłaganej śmierci.

Ibrahim pasza, mój dawny gubernator Syrji, a dzisiejszy Sofji, pokazywał mi listy rannych, którzy w ostatnich tygodniach przeszli tędy wszyscy z Plewny, było ich 5,200, a oczekiwano jeszcze przeszło 2000. Biorąc na uwagę brak chirurgów, lekarstw, niewygody, ciężkość ran z postrzałów strasznej dzisiejszej broni, potrzeba dorzucić najmniej 3,000 zmarłych. Na te dziesięć tysięcy przeszło rannych, liczę najmniej jedną trzecią część zabitych, to daje okrągłą cyfrę 13 tysięcy.

Moskale jako szturmujący po kilkakroć i odparci musieli mięć potrójne, jeśli nie poczwórne straty, czyli od 40—50 tysięcy. A wiec od 50 do 60 tysięcy ludzi padło na tym jednym kawałku ziemi! Coś bardziej morderczego trudno sobie wyobrazić! Opowiadał mi jeden pułkownik, świadek tych rzezi, że Turcy nie strzelają do Moskali rotowym ogniem, ale palą salwami bataljonowemi i całemi baterjami, pod tym ogniem najdzielniejszy żołnierz się chwieje, przerzedza się, topnieje, a w końcu zmuszony jest cofnąć się pozostawiwszy dwie trzecie w zabitych i rannych, na krwią oblanem polu. Skobelew stracił 60 na 100 ze swoich szturmujących pułków: 8,000 na 12,000!!!

Jenerał plackommendant Sofji sam oprowadzał mnie po lazaretach, zapytałem się czy nie ma Moskali? pokazał mi ich, na całą tę massę rannych było ich *czterech!* a przecież Turcy byli panami placu boju, mieliżby Moskale zdołać uprzątnąć swoich rannych?? Traktowani są lepiej niż Turcy; mają posłania bardzo czyste, izbę dobrze opatrzoną, dobrze są karmieni, mają co palić, prawda i to, że ich tylko *czterech.*

W Sofji ogromne są magazyny; w okolicy jej wszystkie młyny na rzece Iskrze zajęte są do mielenia mąki dla wojska. Moskale opasawszy Osmana w Plewnie, będą starali się wszelkiemi siłami opanować Sofję właśnie dla tych magazynów. Czy zdołają Turcy obronić to ważne miasto? Widząc jak niedołężnie zmarnowali czas, nie umiejąc korzystać z okoliczności dwa razy dających im sposobność niechybnego wparcia Moskali do Dunaju, na wszystko jestem przygotowany, chybaby Ałłach po raz trzeci wpychał im w garść zwycięztwo, z którego, kto wie, czy jeszcze umieliby skorzystać.

Wybrałem się nareszcie do Plewny, puściłem się w drogę, ale spotkawszy popłoch uciekających wozów z krzykiem *kozaki!* pomyślałem sobie, że ciekawość moja powinna tu mieć granice. Powróciłem więc i zrobiłem dobrze, Plewna została otoczoną i komunikacje z nią zupełnie przerwane. Gdyby nie stracone dwa dni w Sofji, co mnie bardzo niecierpliwiło, z pewnością dostałbym się do Osmanowego Sewastopola, aby się z niego może już nigdy nie wydobyć. Bądź pani pewną, że biłbym się tak dobrze, jak żołnierz Osmana.

W Sofji zabawiłem jeszcze dzień jeden zanim zdobyłem wóz; chciałem tu sobie kupić na pamiątkę karabin moskiewski, który tu jest w ręku każdego Turka, a na ulicach sprzedaje się za parę złotych: ale pomyśliłem sobie, że lepiej pojechać do Szypki, gdzie darmo przyjść można do tej pamiątki.

A więc do Szypki!

Znowu na bryczce, ale tym razem nie przez góry i wolno, bo na zapchanej drodze łańcuchem wozów w tę i w owę stronę ciągnących się; transporta żywności, amunicji, korzystały z pięknego pogodnego czasu. Wlokłem się tak dwa dni krajem z początku nie zniszczonym, dalej pomiędzy samemi gruzami wsi i miast. Kalofer, jedno z najbogatszych, najweselszych miasteczek bułgarskich, gdzie miejscowy sukienniczy przemysł wysoko się rozwinął; gdzie zaczynał się wielki sad róż, kilka mil się ciągnący, gdzie kiedyś w woni róż, kołysany pieśnią tysiąca słowików i szmerem strumieni marzyłem o moim utraconym raju i dokąd chciałem cudem przenieść na jedną chwilę kogoś... Ktosię, którą tak kochałem, aby przejęta cudownością obrazu, przygotowana do dobroci widokiem hojności Bożej, rzuciła na mnie okiem! — kraj ten przeraził mnie strasznem pustkowiem, gdzie na każdym kroku znać ślad niezbładanej pożogi i mordu!

Na okopconych dymem gruzach siedzące koty pierzchały na widok twarzy ludzkiej; zdziczałe psy błąkały się po polach, oglądając się trwożliwie czy człowiek nie idzie. Tu i owdzie nie pogrzebany trup, ohydny, porosły pleśnią, bez niej, nagością straszny przyśniłby się jeszcze w przeddzień sądu ostatecznego!

I na to rzućmy zasłonę!!

Podoficer dodany mi z linji posterunków obozu tureckiego, gdzie nie mogłem się dostatecznie wylegitymować, dostawił mnie do baraku Szakira paszy, jenerała dywizji prawej ręki marszałka Reufa. Korespondent jakiegoś dziennika ilustrowanego rysował wnętrze baraku i posadził był właśnie Szakira profilem gdy wszedłem; jenerał zerwał się, zawadził o tekę rysownika, która mu z rąk wypadła i rzucił mi się na szyję; podoficer uznał żem dostatecznie wylegitymowany i wyniósł się. Szakira kilka lat nie widziałem, a jest on jednym z najlepszych przyjaciół naszego domu; był długo ze mną nad Dunajem a potem w Bagdadzie za Midata, gdzie się zapoznał z moją małą rodziną, której codziennym bywał gościem. Rysownik złożył tekę z kwaśną miną, odkładając szkic na jutro. „Po co, rzekłem, jenerale, robić krzywdę Europie rozchwytującej wszystko co od was; kończcie rysunek, ja tymczasem jeżeli mi to pozwolisz, chciałbym zobaczyć Moskali; wieczór wystarczy nam na pogadankę.“ „Chcesz Moskali zobaczyć? nic łatwiejszego! siądź na mego konia, weź mego adjutanta i dwóch ułanów, z prawego naszego skrzydła, zobaczysz wszystko. Za pół godziny zagadamy z moździerzy, przyjrzysz się pojedynkowi artylerji, znajdziesz tam i Marszałka, który pojechał zwiedzić skrajne baterje lewego skrzydła. W pięć minut kłusowałem na doskonałym koniu po drodze wężem się wijącej wzdłuż góry, prowadzącej do redut na grzbiecie. Działa zagrzmiały, dojechaliśmy do wielkiej baterji Jeszyt-tepe, o dwunastu działach ciężkiego kalibru; baterja milczała, pod nią żo

nierze jeść sobie gotowali spokojnie, tu zsiedliśmy z koni, powiedziano nam, że marszałek z innymi jenerałami jest w ostatniej baterji; prosiłem adjutanta, aby mnie tam poprowadził. Droga komunikacyjna między redutami idzie tak pod samym wierzchem góry, że jest nią zupełnie zakryta przed Moskalami; ziemia drżała nam pod stopami od huku dział i słychać było gwizd i warczenie czerepów pękających bomb, ale nic nie było widać. Nie dochodząc do skrajnej reduty ujrzałem opuszczającego ją marszałka. Reufa znam jeszcze z Bejrutu gdy 1861. po rzezi Damasceńskiej był jako podpułkownik adjutantem Fuada, nadzwyczajnego komisarza W. Porty; wtedy ja wysłany byłem z Albanji na wezwanie Fuada do Syrji i miałem sposobność oddania usług rządowi; widywałem go później w Lattaquié, w domu stryja mojej przyszłej narzeczonej. Miły to i grzeczny człowiek, wychowany w Paryżu. Wysoki, piękny to był chłopak, pamiętam, (było to w czasie okupacji Syrji przez wojska francuskie) rzekł raz, zagadnięty, czy lubi Francuzów? avec un sourir fin: „j'aime beaucoup les Français; mais les Français chez eux, les Français es partout, je crois Mr. Charles, que vous etes de mon avis" i spojrzał na Eulalję, której twarz zalała się rumieńcem. Później spotkałem Reufa już marszałkiem w Bagdadzie, i tam przypomniał nam obojgu sam, że jest dobrym znajomym, który się cieszy, że był niezłym obserwatorem w Lattaquie; powitanie się więc i teraz nasze było prawdziwie serdeczne. „A masz tu kilku znajomych z Bagdadu." i wskazał mi Redżeb paszę i parę pułkowników, perdus dans la suite.

Co raz strzelano goręcej, ziemia drżała silniej, a tu nic nie widać! „Pozwól mi, panie marszałku, podejść trochę wyżej nad drogę." „Ach, vous voulez voir vos amis, eh bien, ils sont aussi les nôtres, allons tous, suiver moi." Marszałek zaprowadził nas do ciężkiej baterji Jeszyl-tepe, pod którą zostały się konie. Sądziłem, że wejdziemy w środek reduty, przyglądać się bitwie z za parapetów; gdzie tam, Reuf obszedł ją z dołu i na grzbiecie góry; na zupełnie odkrytem miejscu stanął na skrzydle baterji. Reduty walczące odsłoniły się nam w wieńcu z ognia i dymu; tuż od nas na lewo kilkudziesięciu żołnierzy ciekawych przyszedłszy za nami usiadło z cygaretami w ustach. Na przeciwko nas za wąwozem o 2000 metrów milczała jak nasza ogromna baterja moskiewska, Przez lunetę widziałem doskonale, w ambrasiurze oficera z lunetą przy oczach do nas zwróconego. Wiedziałem, że za wielka kupka nasza koniecznie musi ściągnąć na siebie ogień, bo do kogoż będą strzelali, jeśli nie będą palić do masy, zwłaszcza lunetującej, gdzie cały sztab być musi. Wiedziałem, że stojąc w pierwszej linji z marszałkiem i z trzema jenerałami w szarych płaszczach, ja w mojej węgierskiej huzarce, obszytej siwym krymskim barankiem, doskonale muszę być widzianym i kto wie, czy nie wzięty za główną osobę, pewny więc byłem, że muszą nas powitać; ależ droga pani moja, czy to mnie było cofnąć się, albo powiedzieć marszałkowi: „c'est de la témérité ce que vous faites?" Mógłby się uśmiechnąć i zostać na miejscu nie chcąc powiedzieć: „tiens, Mr. Charles, auriez vous peur?" Ledwiem to sobie pomyślił, aż tu z wielkiej owej beterji moskiewskiej długie białe żądło dymu wyskoczyło, a Redżeb pasza rzekł z najzimniejszą krwią: „To dla nas, marszałku." W parę zaledwie sekund przewarczał nad głowami naszemi ogromny pocisk, a że szedł łukiem, przy silnym spadzie góry nie mógł spaść jak na równinie tuż za nami i pęknąwszy urwać z nas kogo, lecz spadł w głębię wąwozu, gdzie pękł z gromem porwanym w setne echa. Żadna luneta nie zadrżała, żadne nie zmrużyło się oko, żadna się głowa nie skłoniła. Drugi strzał celniejszy, czuliśmy wiatr pocisku, trzeci; nie zważał nikt na niego, nie słyszałem nawet czy pękł, wieczorem tylko mi mówiono, że przeleciał nad naszemi końmi, niżej baterji, gdzie narobił dużo próżnego łoskotu. Moskiewska baterja zamilkła, Redżeb pasza szepnął coś na ucho adjutantowi i ujrzałem ruch między kanonierami w baterji, adjutant powrócił. „Marszałku, rzekł Redżib, kiedy oni zagadali tak grzecznie, pozwól, ja im odpowiem salwą z czterech ze środka, a zobaczysz jaki sądny dzień się zrobi, jak oni się rozewściekną." Gdybym mógł, wierzaj mi pani, dałbym kułakiem w bok mojego jenerała, a miałem go tak blizko pod ręką, Reuf przyglądał się ogniowi, jakby nie słyszał; Redżib znowu z swoją propozycją, bogdajbyś oniemiał! pomyśliłem; marszałek zwrócił się do żołnierzy przy nas siedzących i rzekł: „Ustąpcie ztąd dzieci, po co ta ciżba, czy nie widzicie, że do nas strzelają?" żołnierze zniżyli się nieco, sam zaś nic więcej nie powiedziawszy, skierował znowu swoją lunetę na strzelające tureckie baterje; Redżib nie proponował swojej salwy raz trzeci.

Trzy tureckie bomby upadły bardzo boleśnie między moskiewskie baraki; widzieliśmy w powietrze wylatujące deski a żołnierze wysypywali się z kryjówek, jak mrówki z zamieszanego mrowiska. Jedna bomba moskiewska pękła między namiotami tureckiemi; Reuf ścisnął mi konwulsyjnie ręką i szepnął: „oh, que c'est malheur!" O zachodzie słońca umilkły działa i moździerze, zjechaliśmy ze Szypki do obozu. Byłem na obiedzie u marszałka, z Szakirem, Redżebem, Arifem i Lieman paszą; ten ostatni Prusak, w kilka dni później ubity w takim pojedynku artylerji; ta bomba której tak bał się marszałek, grzecznie się obeszła, raniąc dosyć lękko jednego tylko kapitana; Moskale tego dnia mieli 23 zabitych i 30 kilku rannych, o czem dowiedzieliśmy się nazajutrz od dwóch dezerterów Polaków. Podobne straty są codzień, tureckie często są żadne, lub redukują się do trzech lub czterech ludzi, pochodzi to ztąd, że Moskale nie widzą efektu strzałów i poprawiać ich nie mogą, Turcy zaś na dwóch naprzeciwko siebie umieszczeni górach widzą z prawego skrzydła jak padają pociski na lewem i na odwrót, mają telegrafy przez wąwóz od redut do redut i poprawiają za pomocą elektryczności błędy swych strzałów.

Opowiadanie zbiegów tłumaczyłem marszałkowi; mówili, że we wszystkich obozach jest przekonanie, podtrzymywane przez oficerów, że każdemu, kto dostanie się w ręce tureckie, niewolnikowi czy zbiegowi rozpruwają brzuch, zasypują żarzącemi się węglami, a potem ucinają głowę.

Dostałem na pamiątkę moskiewski karabin i kilka tuzinów ładunków; (broń to ciężka, niezgrabna i w porównanie z wyborną turecką iść nie mogąca) i z miłem wspomnieniem serdecznego przyjęcia pożegnałem marszałka i Szakira wziąwszy list do Sulejmana paszy naczelnego wodza i lunetę dla niego przeznaczoną. Chciałem z Szypki przedrzeć się do Szumli i Razgradu przez Bałkan, ale mi to Reuf z Szakirem odradzali, wróciłem więc tą samą drogą do Filipopoli a ztamtąd przez Adrianopol koleją żelazną do Stambułu. W tydzień potem przebywszy Czarne morze najstraszniej wzburzone, znalazłem się w głównej kwaterze Sulejmana paszy. Dzięki listom i lunecie, której jenerał widać bardzo potrzebował, byłem przyjęty nadzwyczajnie uprzejmie i grzecznie, Sulejman i jeneralny szef sztabu Hussni pasza, ze szkoły oficerów w St Cyr, zapraszali mnie abym się zatrzymał kilka dni, a zobaczę coś ciekawszego aniżeli pojedynek artylerji; być może że i zostałbym, ale to pociągnęłoby dwa tygodnie nowego opóźnienia się do Lattaquié, gdzie Eulalja nie wiedząc dokąd mnie zapędziła ciekawość, już umiera ze strachu, a cóż dopiero gdyby się się dowiedziała gdzie się obracam!!!

Żołnierza tureckiego znalazłem wszędzie dobrze karmionego, zdrowego i wesołego pomimo deszczów i zimna, wszędzie obdarty, ale te łachmany dzisiaj w moich oczach są najpiękniejszą ozdobą, najzaszczytniejszą dekoracją tego niezrównanego żołnierza, który nie daj Boże, zmarnuje się na próżno przez niedołęztwo ministerjum wojny i w ogóle głów u góry; którym jeśli nie co gorzej, to ośle uszy z pod fezów wyglądają...

KTO UPRAWNIAŁ NIEWOLĘ CHŁOPA?

Publicyści rossyjscy stale podnoszą przeciw Polsce ten zarzut, że celem jedynym bytu samoistnego, do którego ona dąży przez wysilenia lat stu, jest jakoby przywrócenie tradycyj szlacheckich — i uwiecznienie poddaństwa chłopa. Po długiej pisaninie w tym sensie Katkowa, Aksakowa, Krajewskiego i tylu innych, czytaliśmy niedawno to samo w petersburgskich gazetach, z powodu jubileuszu Kraszewskiego. Taktyka to znana, a zmierza do tego, żeby w obec zrównania w krajach ucywilizowanych wszystkich stanów przed prawem, zdyskredytować Polskę i tem usprawiedliwić ciężący na nas rosyjski system rządowy. Pozory zarzutu pp. publicyści posiłkują tem jeszcze, że zniesienie poddaństwa na Litwie i Rusi, oraz spłacenie jednorazowe w kongresowem Królestwie powinności włościańskich za odrobkowe grunta, nastąpiło z mocy ukazów, wydanych przez panującego obecnie cesarza. Faktu tego my Polacy nie zaprzeczamy i nie myślimy znaczenia jego osłabiać, chociaż co do wykonania ukazów znalazłoby się dużo do powiedzenia.

Ważnem dla nas jest to: kto utrzymywał poddaństwo Rusi, tudzież pańszczyznę odrobkową w Królestwie?

Drugie obok tego pozwalamy sobie postawić pytanie: Czy Polska pod panowaniem Rossji miała środki i mogła uchylić jeden lub drugi stosunek włościanina do właściciela ziemi?

Te dwa pytania pp. publicyści rossyjscy zostawiają bez odpowiedzi. My tego milczeniem nie możemy pominąć, więc notujemy, że poddaństwo jak i pańszczyzna były to zasadnicze podstawy społeczności rossyjskiej, państwa i panowania, wszelkie zaś pokuszenie się o zmianę społecznego ustroju było i jest w Rossji poczytywane za „bunt", a więc to zbrodnia stanu — winnego czeka więzienie, Sybir.

Szukajmy danych dla wyjaśnienia?

Ukaz cesarski o zniesieniu poddaństwa na Litwie i Rusi wydano i ogłoszono w r. 1861. Kto dał do tego początek?

Pierwszy głos w tym kierunku został podniesiony przez polską szlachtę na Litwie, dowo-

dem czego reskrypt cesarski z d. 29 grudnia 1857 r., wyrażający szlachcie podziękowanie za to. W reskrypcie tym, wystosowanym do wileńskiego generał-gubernatora czytamy co następuje:

„Pochwalając w zupełności *zamiary* reprezentacji szlacheckiej i t. d... upoważniam ten stan (nie „nakazuję“, ale *upoważniam*). aby przystąpił do ułożenia projektów, na zasadzie których zamiary komitetów (szlacheckich projektujących) będą mogły urzeczywistnić się, lecz *nie inaczej*, jak tylko *stopniowo*, żeby nie naruszyć istniejącego obecnie porządku gospodarczego“.

Jakie miały znaczenie te zastrzeżenia?

Projekta szlachty litewskiej dlatego w pierwszym reskrypcie cesarza *obwarunkowano* i czasem *ograniczono*, by nie sięgnęły dalej, nie weszły w czyn prędzej, nim Rosja będzie mogła zdążyć za niemi. Tam podjęto nacisk rządowy, pisma publiczne wstydziły rossyjskich ziemian, wskazując przykład na Litwie i znacznie też później tam przystąpiono do gotowego projektu.

Kto tedy: czyli też Polska, rząd czy Polacy dali inicjatywę do zniesienia poddaństwa, uwłaszczenia ludu wiejskiego? Rząd tylko sankcjonował — szlachta z własnej woli projekt podała.

I jeszcze na zjazdach komitetów szlacheckich była obawa, czy rząd tego nie poczyta za objaw „buntu“? Na zjeździe w Grodnie, gdy odcień rzutniejszych obywateli, zwanych wtedy *dorpatczykami* (kończyli uniwersytet w Dorpacie) pierwsi projekt ten postawili, to starsi obywatele, których nie jedno już nieszczęście za dawniejsze projekta dotknęło, nie byli w stanie zdecydować się na to od razu. Żeby ośmielić ogół, *dorpatczycy*, przyjmując na siebie całą za krok ten odpowiedzialność, położyli na stole przełamany na dwoje arkusz papieru: po jednej jego stronie był napis „*za zniesieniem poddaństwa*“, po drugiej „*przeciw zniesieniu*“ — i wszyscy ci śmieli inicjatorzy pierwsi za *zniesieniem* podpisy swe położyli. Długo wahał się ogół w obec obawy przed odpowiedzialnością, na ten wypadek jeżeli rząd źle projekt przyjmie; przystępując jednak do złożenia podpisów, każdy z osobna, kierowany cnotą obywatelską i dając odprawę strachom, kładł podpis swój po *dorpatczyków* stronie. Na stronie przeciwnej ani jednego podpisu nie było.

Kwestja w ten sposób jednego dnia zdecydowaną została. Zapamiętajmy, że to miało miejsce w r. 1857.

W obec tego faktu rozglądamy się w prawodawstwie rossyjskiem z owego czasu. Jak tam stosunek chłopa do pana był określony? Wypisujemy kolejno artykuły z IX tomu zbioru praw dla cesarstwa, wydanego w tymże 1857 r.

Art. 1029 do 1038 zabezpieczając panom poddaństwo chłopa, wzbraniają poddanym przechodzenie do innych panów, uchylają skargi na nich do rządu i nie dopuszczają nawet ślubów małżeńskich bez pozwolenia dworu.

Dalej brzmienie prawa dosłownie jest takie:

Art. 1042 punkt 4: „Gdy dziewczyna lub wdowa zbiegnie i wyjdzie za mąż za człowieka wolnego, to mąż jej, niezależnie od ustanowionej (oddzielnie) kary, płaci panu za nią rs. 150.“

Art. 1046: „Robocizna poddanych dla panów ustanawia się po *trzy dni tygodniowo* od każdej osoby.“

Art. 1047: „Od woli pana zależy odjąć włościaninowi grunta i zabrać go do służby dworskiej, albo dworskiego człowieka na gruncie osadzić, jako też zmieniać według swej woli ich powinności“.

Art, 1048: „Pozwala się właścicielowi oddawać poddanych na służbę ludziom obcym jako też wynajmować ich“.

Art. 1050: „Sądzenie wszelkich sporów i pretensji poddanych pomiędzy sobą do attrybucji pana należy“.

Art. 1052: „Kary cielesne na winnych pan lub rządca jego (każdy oddzielnie i każdy od siebie) mają prawo wymierzać do wysokości 40 rózg, albo 15 kijów“ (na jeden raz).

Art. 1060: „Właściciel ma prawo przesiedlać włościan z jednych gruntów na drugie, chociażby do innego powiatu albo gubernji“.

Cytacja byłaby za długa. Dla uformowania pojęcia, jak dalece włościanin był niewolnikiem swego pana, wystarczają powyższe wyciągi. Można go było zniszczyć na dorobku, zrujnować i zniweczyć fizycznie, zabić moralnie przy prawach, jakie wtedy przysługiwały panu, w rzeczy zaś samej właścicielowi poddanego człowieka. Żeby zaokrąglić pojęcie, niech nam wolno będzie przytoczyć jeszcze parę wyciągów z prawa, zawartego w IX tomie:

Art. 1068: „Zmiana poddaństwa i przejście poddanych od jednego ich właściciela do innych, dopełnia się na zasadzie ogólnych przepisów co do *nabywania prywatnej własności*“. (I czyż to człowiek nie jest to samo, co rzecz, sprzęt, koń albo wół?).

Art 1069: „Poddanych jak z gruntami, tak i *bez gruntów* nabywać ma prawo jedynie szlachta“ — a więc sprzedaż dowolna.

Art. 1080. Wzbrania się o *częściowej* (pojedyńczo) sprzedaży poddanych ogłaszać w pismach publicznych.“

W dawniejszem prawodawstwie (przed r. 1857) nawet tego zastrzeżenia nie było. Brak tylko, żeby włościan spędzano dla sprzedaży tabunami na rynek targowy.

Takie określone prawo przysługiwało szlachcie rossyjskiej, a więc tem samem przeszło i na prowincje polskie, do Rossji dawniej wcielone. Szlachta polska zrzekła się poddaństwa w tym roku, kiedy prawodawstwo rossyjskie utrwalało w powyższy sposób niewolę chłopa.

Czy to też dla publicystów rossyjskich dowód, że Polska pragnie przywrócić tradycje staroszlacheckie i z tem razem poddaństwo?

W Kongresowem Królestwie co innego widzimy znowu. Kraj nasz uległ ostatniemu rozbiorowi z powodu konstytucji 3. maja 1791 r. Tak to pozorowano przynajmniej. Konstytucję tę sąsiednie państwa uznały za rewolucyjną i szkodliwą dla siebie. Jakie zadanie postawiło dla kraju co do stosunków jego społecznych, to zasadnicze prawo narodu? Oto jednym z celów jego było, zniesienie poddaństwa chłopa. Rozebrano Polskę..., lecz skoro część jej pod nazwą Księstwa warszawskiego, otrzymała byt niezawisły, poddaństwo zostało tam zaraz zniesione, włościanin osobiście został wolnym człowiekiem, i miał prawo wedle upodobania swego, przechodzić z miejsca na miejsce, obierał rodzaj zatrudnienia, jakie za najwłaściwsze dla siebie uznawał, za grunta zaś zastawione w użytkowaniu jego, płacił albo odrabiał, stosownie do przyjętego na mocy kontraktu zobowiązania. Publicyści rossyjscy mogą nam dzisiaj powiedzieć, że wolność osobista chłopa bez ziemi była i będzie niedorzecznością. Sprzeczać się o to nie będziemy, ale musimy zaznaczyć, że w tym samym czasie w Rossji sprzedawano chłopa i ogółem, i pojedyńczo, oddawano go w najem na dochód pana, robiono zamianę na konia i charty, i poddany nie śmiał przeciw temu słowa powiedzieć, bo dla zażaleń prawodawstwo rossyjskie, wszystkie przed nim drogi co do tego, pozamykało. Nie była to więc dowolność osobista, ale warunek wynikający z prawa posiadania człowieka, jak żeby on był sprzętem lub rzeczą. W Księstwie Warszawskiem włościanin względem dworu od r. 1806 stanął w stosunku dzierżawcy. I na tem Polska nie poprzestawała, nie uznawała kwestji włościańskiej za rozstrzygniętą stanowczo, bo stale podejmowano projekta o ulepszenie bytu wolnego już włościanina. Rossja to, po objęciu rządów królestwa Kongresowego, stawiała przeciw temu przeszkody, rezerwując kwestję włościańską dla siebie, jako środek polityczny przeciw krajowi. W r. 1864 podjęto reformę w tym właśnie sensie. I co ważniejsza, ukazy z tego czasu uwłaszczające nie w pomysłach rządu rossyjskiego początek wzięły, bo są tylko podzielonym na paragrafy przedrukiem broszury szlachcica polskiego, W. Surowieckiego, wydanej w r. 1807 w Warszawie, jako projekt ówczesny, z celem przekazania ziemi odrobkowej na własność włościanom. To samo tam uwłaszczenie, te samo służebności pastewne i leśne, a tylko całość w dobrej wierze i na korzyść kraju była pomyślaną, bez tej przymieszki celu politycznego, który z kwestji sprawiedliwości społecznej, miał swar społeczny wytworzyć. Tego Rossja chciała, i to przeprowadzał u nas jej komitet urządzający. Poczynając od r. 1806 chłop polski miał w Księstwie Warszawskiem, potem w Królestwie kongresowem. otwartą dla siebie szkołę publiczną, miał prawo nabywania ziemskiej własności, dosługiwał się w wojsku i na urzędzie stopnia, od tego też czasu synowie chłopów poczęli wchodzić na większe ziemskie dziedzictwa i gdy nawiedził nas najazd Komitetu urządzającego, posiadanie własności folwarcznej było w Królestwie przez połowę ze szlachtą w ręku wnuków włościańskich. To zostały u nas ukazy uwłaszczające, kiedy dla pobudzenia Rossji, tymczasem do zrzucenia się poddaństwa, trzeba było inicjatywy szlachty polskiej na Litwie, następnie zaś nacisku ze strony rządu.

Więc tutaj może widzą dowód publicyści rossyjscy, że Polska domagając się bytu samoistnego, pragnie tylko do tradycyj staro-szlacheckich, powrócić? Tradycje te są u nas—tak lecz one nie chęć wynoszenia się, nie przewagi jednego stanu a poniżenie innych, ale obowiązki względem kraju i wszystkich warstw jego społecznych mają nam przypominać. Do obowiązków tych zaliczamy walkę przeciw przewrotom i nihilizmowi, który z urzędnikami rossyjskimi wprowadzono do prowincyj polskich.

Powiadają nam, że chłop polski drży na wspomnienie rządów szlacheckich. Spróbujmy co do tego obliczyć się z faktami.

Znajomy mój Apolin Hofmeister, właściciel dóbr Szostakowa, w powiecie Brzesko-Litewskim, guberni grodzieńskiej, w r. 1864 został uwięziony i następnie zesłany na Sybir, majątek zaś na rzecz skarbu skonfiskowano. Zaprowadzono tam urządzenia rządowe, włościanie zatem muszą być bardzo szczęśliwi, że im pana polskiego zabrano.

Jak oni to przyjęli, jak rozumieją nowe

stosunki swoje, niech mi będzie wolno zamieścić tu przykład dosłowny paru listów, pisanych po rosyjsku, które p. Hofmiester na Syberji od włościan odebrał. Treść ich jest następującą:

Szostakowo, d. 20 czerwca 1871 r.

„Miłościwy panie! My — piszą włościanie — wasi dawni poddani, Mikołaj Pieczka, i Jan Kowalczuk, z których byliście zadowoleni, jak i my z was, ale nieszczęście chciało, że Bóg wszechmocny nie dał wam zamieszkiwać w swoim majątku, gdzie spojrzymy teraz, wszędzie rosną chwasty (wsiechudije) i nie wesołe owoce, aż nam serce pęka od żalu. Zatem dowiedziawszy się w tym roku ja Mikołaj Pieczka, żeście wy zdrowi i chcecie mieć od nas wiadomość, piszemy, przyczem ośmielamy się donieść o swojem zdrowiu, żeśmy zdrowi dziękować Bogu, czego i wam życzymy i prosimy Najwyższego, żeby dał tę łaskę i żebyście do swego majątku wrócili, a nam żeby pozwolił oglądać jeszcze wasze drogie oblicze, które my przypominając sobie, nie możemy zapomnieć. Ja Mikołaj Pieczka chodzę po służbie, bo jak wiecie, nie mam swej ziemi, miałem nadzieję dostać od was, ale Bóg nie pozwolił, nie tracę jednak nadziei, że jeżeli nie ja, to dzieci moje będą oczekiwać tego, bo może da nam Najwyższy, że wy wrócicie. Ci ludzie wasi, których uszczęśliwiliście wy, są zdrowi, dziękują za waszą łaskę i proszą Najwyższego, żeby pozwolił wam wrócić, chcą pisać do was, a ja Jan Kowalczuk dostałem trzy dziesięciny ziemi od komisji nadawczej (Powierocznaja komisja), na niej postawiłem dom i mam kawałek chleba, a ze mną mieszka matka staruszka, która prosi Boga, żeby choć przed śmiercią mogła was widzieć“ i t. d.

W tym sensie cały list napisany. Piszą to włościanie dziś prawosławni, pochodzący od rodziców unickiego wyznania. W końcu listu dopisek taki:

„Dowiedziawszy się, że ludzie wasi do was piszą, ja diaczek cerkiewny (prawosławny), którego może wy pamiętacie, bo ja byłem wtedy jeszcze bardzo mały, życzę wam od Boga zdrowia, szczęścia i całuję drogie ręce wasze.

Podpisano: A. Barański.

I jeszcze dopisek:

„Ja Filimon Szmolik dowiedziawszy się, że do was piszą, donoszę, że i ja zdrów, czego życzę i wam, a proszę Najwyższego, żeby dał wam jeszcze powrócić do nas, ze mną proszą Boga o to i dzieci moje. Ja teraz sam jestem na gospodarstwie, bo Roman Murzyn wziął trzecią część ziemi i oddzielił się odemnie“.

Drugi list, dnia 5. marca 1875 r.

„Jaśnie Wielm. Panie! Za darowane nam grunta ja nie przestanę być wdzięcznym, lecz teraz brat mój Jan, żąda ode mnie połowy, więc ośmielam się prosić was, przysłać nam wiadomość, komu był darowany grunt, mnie, czy mojemu bratu? Przyczem proszę i to rozstrzygnąć, czy ta ziemia, co dostałem za oddzieloną pod cmentarz, powinna do mnie należeć, czyli też do Mikołaja Murzyna i Jana Murzyna, którzy to chcą teraz odemnie odebrać.

Podpisano: Izydor Murzyn.“

Trzeci już nie list, ale w formie urzędowej podanie — nosi datę 20 maja 1875 r.

„Ja — mówi podpisana — byłam sługą pod opieką waszych rodziców; a moich panów, byłam pokojową i wyszłam od nich za mąż za Kiryłę Pieczkę, lecz mąż mój umarł w r. 1862, a ja zostałam z czworgiem małych dziatek. Przy formowaniu listy nadawczej (Ustawnaja Hramota) w r. 1863 wyście rozkazali, żeby gospodarstwo po mężu można zapisać na jego brata, Romana Pieczkę, ale z tem, że dzieci moje dostaną z tego połowę. Teraz Roman wszystko zabiera sam i nic nie daje nam. Ja się udawałam do gminy (wołość) ale bez skutku, zatem proszę was rozstrzygnąć to, bo Roman powinien mieć połowę, a my także połowę.

Podpisano: Natalia Pieczkowa.“

Drugie z tejże daty podanie:

Według rozporządzenia nieboszczyka rodzica waszego, mój ojciec Teodor Murzyn, został przeniesiony ze wsi Mursyny, do wsi Szostakowa, ale nasza stodoła została w dawnej wsi i teraz jeszcze tam stoi. Potem, kiedy nas urządzała komisja (powierocznaja), to myśmy do Muszyn wrócili na dawne grunta i ja użytkowałem ze stodoły, ale czterech naszych włościan kupili wasz folwark tutaj i oni stodołę odbierają odemnie. Upraszam najpokorniej, przyślijcie rozkaz (predpisanije), żeby mnie tej stodoły nie zabierali.

Podpisano: Maksim Murzyn.“

Czy powyższe listy mogą służyć za dowód dla publicystów rossyjskich, że włościanie drżą u nas na wspomnienie rządów szlacheckich? Nie musiały być te rządy tak przeciwne ich dobru, musieli mieć zapewne opiekę i dobry dwór z nimi utrzymywał stosunek, kiedy po zesłaniu dawnego ich pana na Sybir, jeszcze oddają mu do rozstrzygnięcia spory pomiędzy sobą i proszą Boga o to, żeby tenże pan do nich powrócił.

Zanotowałem wyżej, że reskrypt cesarski dla Litwy z 9. grudnia 1857 r., za warunek usamowolnienia postanowił to, że poddaństwo nie może być inaczej znoszone, jak tylko stopniowo i na to kazano oczekiwać ukazu. Warunek ten nie mógł być pomijany bezkarnie, śmieli jednak obywytele zaraz przystąpili do wykonania swego projektu.

Do tej liczby należał p. Hofmejster. Zaraz po złożeniu przez szlachtę projektów o zniesienia poddaństwa, zwołał on swoich włościan i powiedział, że grunta i osady, stanowiąc dotąd za pańszczyznę ich używalność, przechodzą do nich na własność. Decyzji ostatecznej z Petersburga nie czekał. Przejście na gospodarstwo parobczane od razu nie było możliwe, za naradą przeto z włościanami, rozłożył to na siedm lat i stopniowo uwalniał włościan od powinności. Darowiznę tę jego śmielsi przyjęli, inni wszakże bali się, żeby na nich za to odpowiedzialność nie spadła, że robią układy z panem, kiedy nie ma jeszcze ukazu. Uwłaszczył od siebie piętnastu gospodarzy tylko, reszta postanowiła czekać, a każdy z uwłaszczonych dostał 31 morgów litewskiej ziemi.

Ukaz następnie gwarantował szlachcie wynagrodzenie za grunta włościańskie, p. Hofmeister zrzekł się tego i w dokumentach na darowiznę wydanych zwolnił włościan od wszelkich opłat dworowi. Początkowo sam on nie wiedział, czy rząd nie będzie ścigał więcej pospiesznych obywateli, za takie poprzedzanie ukazów cesarskich; w dokumentach przeto dla pierwszych pięciu włościan zeznał, że im grunta sprzedaje i że szacunek za takowe został mu wypłacony, ale rzeczywiście nic nie wziął. Po ogłoszeniu ukazu ostrożność ta była już niepotrzebną, dokumenta następne mówią o darowiznie bezpłatnej. (Dowody w sądzie powiatowym Brzesko-litewskim i w listach nadawczych, ustawnyja hramoty).

Jednocześnie p. Hofmajster pokasował karczmy w swych dobrach i zaprowadził szkółki dla dzieci włościańskich, uczono tam po polsku, ale uczono także i po rossyjsku, a kierownikiem nauki pod jego zwierzchnim dozorem, był miejscowy pleban prawosławny, który przy rewizji biskupa Żelazowskiego z Grodna, dostał od niego za też szkółki nagrodę.

Powiedzą może pp. publicyści rossyjscy, że przykład p. Hofmeistra był pojedynczy, że wreszcie on, jako po Syberji włóczony był powstańcem, rewolucjonistą polskim, ale nie zwykłym obywatelem. Właśnie tutaj wskazówka, do czego prowadziła i do czego prowadzi Polska dobijająca się bytu niezawisłego. On należał do tego odcienia, dowód więc czego ten odcień chce. Wreszcie, czy można pojedynczym nazwać fakt taki w kraju, gdzie tyle innych faktów znacznie wcześniej go poprzedziło. Staszyc i Hrubieszowscy włościanie, Kr. Brzostowski i gmina fabryczna w Sztabinie (Augustowskie), urządzenie włościan w Retowie na Żmudzi przez księcia Ogińskiego, a zresztą któryż to z obywateli na Litwie i Rusi był przeciwny zniesieniu poddaństwa i uwłaszczaniu. Byli w końcu i tacy, którzy jednocześnie z p. Hofmeistrem sami urządzili się z włościanami i własność ziemi bez wynagrodzenia im zapewnili.

U p. Hofmeistra, jak powiedziałem, uwłaszczenie przyjęło tylko 15 włościan, inni zaś postanowili czekać wykonania ukazów. Ci wyszli najgorzej, bo tamci nic nie płacą, ci zaś zostali obłożeni ciężarami, których p. Hofmeister nie domagał się wcale.

To są dowody nasze, w obec których zarzuty prasy rossyjskiej są tylko brednią i pisaniną bez sensu.

Ant. Mroczek.

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

Najbogatszym dziennikiem na świecie, jest *New York Herald* amerykański. Żaden inny nie posiada takiej liczby korespondentów i tak dzielnie zorganizowanego sztabu reporterskiego. Dosyć przypomnieć sobie jednego z nich, Stanleya, co to kosztem dziennika odbył już dwie podróże w głąb kontynentu afrykańskiego, a teraz pojechał znowu by odbyć trzecią. Odkrycia, ktore ten podróżnik porobił, należą do najważniejszych i najwięcej rzucających światła na tajemnicze wnętrze Afryki.

Oprócz tego, dziennik *New York Herald* posiada własne, znakomicie zorganizowane obserwatorjum i biuro meteorologiczne, które szczególniej dla żeglarzy ma wielką wartość. Biuro to donosi często Europie o burzach, które wytwarzają się przy kontynencie amerykańskim i w szalonym tańcu po nad oceanem biegą ku wybrzeżom europejskim. Telegram z biura meterologicznego na parę dni wyprzedza takie burze i żeglarze mają czas schronić się w bezpieczne porty. W bardzo wielkiej ilości wypadków przepowiednie *New York Heralda* jak najściślej się sprawdziły i to, co z początku uważano za humbug amerykański, dziś jest traktowanem zupełnie na serjo i obserwatorja zachodnio-europejskie w ciągłym są stosunku z biurem *Heralda*.

Teraz, w b. r. dziennik własnym kosztem wyekwipował wyprawę do bieguna północnego. Celem jej będzie dostanie się przez cieśninę Behringa, jak można najdalej na północ, do największej możliwej, doścignalnej statkiem szerokości północnej, a ztamtąd urządzenie wyprawy sankami ku biegunowi.

Statek, który już odjechał nosi miano „Jeanetty". Nie jest on zupełnie nowym i ma już swą własną historję. Był on zbudowanym w r. 1862 dla polowania na wieloryby; następnie pod nazwaniem Pandory przed sześciu laty odbył ostatnią ekspedycję „franklinowską" pod dowództwem kapitana Younga. W tej wyprawie statek okazał się wybornym i przekonano się, że takie statki mniejszych rozmiarów daleko są korzystniejsze, bo łatwiej im uciekać z pośród ściskających lodów.

Komendę „Jeanetty" objęli oficerowie marynarki amerykańskiej, wytrawni żeglarze i doświadczeni w poprzednich wyprawach podróżnicy do krainy wiecznych lodów. Imiona ich Dilong (kap. statku), Chipp, Danenhower i Melville. Jako astronom jedzie znany uczony Newcomb, jako meteorolog Jerome J. Collins, jako przyrodnik Brooks. Naczelnikiem naukowej komisji jest Dr. Ambler.

Zabrano zapasów na trzy lata. Węgle, których tylko część wzięto z domu, uzupełnione zostały na półwyspie Alaska do 270.000 centnarów. Prowianty w konserwach uznanych z długiego doświadczenia za najlepsze, zebrano na statku w odpowiedniej ilości.

Na pokładzie znajduje się łódka, która jednocześnie służyć może jako sanie do wypraw po równinach lodowych. Statek ma z sobą wszystkie składowe części małego budynku, który w razie zachwycenia statku przez lody, albo w czasie zatrzymania się dobrowolnego na zimowe leże, może być wzniesionym na pokładzie statku.

Droga wybrana przez Jeanettę jest wielce obiecującą. Dotąd jeszcze nie była używaną do wypraw celem osiągnięcia bieguna. Jeździło tędy wiele wypraw, ale przeważnie celem odszukania nowych dróg morskich, tak wzdłuż wybrzeża azjatyckiego jak i amerykańskiego. Jest nadzieja, że wyprawa Jeanetty odkryje nowe ziemie w nieznanych obszarach między Nową Syberją a wyspą Patryka.

Czy dojdzie do bieguna, to wielkie pytanie.

Zresztą czymże jest ten biegun, że tak do niego wszyscy się cisną? Czy spodziewają się tam znaleźć coś wielce ważnego i dla nauki pożytecznego? Wszelkie prawdopodobieństwo jest za tem, że ten punkt ziemi nie różni się w niczem od innych otaczających, że tam nawet mniej jest do obserwowania, niż na biegunie magnetycznym.

Głównym celem wypraw biegunowych, jest poprostu zadowolenie ambicji. Urządzają się wyścigi międzynarodowe do bieguna jak do mety i żaden naród nie chce być przez drugi wyprzedzonym. Daleko większa byłaby korzyść dla nauki, gdyby zamiast tracić pieniądze, a co gorsza życie ludzkie, urządzono stałe obserwatorja w miejscach bardziej dostępnych i zbadano dokładnie zjawiska fizyczne atmosfery, zjawiska magnetyczne i inne tych okolic, bo tą drogą zdobytoby nowe prawdy dla nauki. Osiągnienie zaś bieguna będzie przeważnie tylko zadowoleniem ciekawości.

* * *

Edison, prowadząc dalej swe badania nad światłem elektrycznem, doszedł do dziwnego i wielce obiecującego odkrycia.

Jak wiadomo system oświetlania elektrycznego Edisona polega na rozpalaniu do białości drutu platynowego za pomocą prądu elektrycznego. Otóż system ten posiada wiele stron niekorzystnych, a głównie tę, że przy niejednostajnym prądzie, gdy siła jego raptem się zwiększy, drut rozpada się na kawałki, topiąc się w różnych miejscach.

Edison chciał poznać bliżej przyczyny tego zjawiska i w tym celu badał drut pod mikroskopem, rozgrzewając go powoli, od zwykłej temperatury aż do białości.

Okazało się, że przy rozgrzewaniu tworzą się na powierzchni drutu pęknięcia, małe szczelinki, które przy nagrzewaniu zwiększają się i w niektórych miejscach robią drut tak cienkim, że się topi i rozpada w kawałki.

Edison tłumaczy to zjawisko tem, że w porach platyny znajduje się powietrze, które pod wpływem nagrzewania rozszerza się, i rozłamuje ściany platynowe. Jestto rodzaj zjawiska które spotykamy na wielką skalę w czasie silnych trzęsień ziemi, gdy skorupa jej pęka pod naciskiem gazów wewnętrznych i tworzą się szczeliny.

Gdyby zdołano usunąć to powietrze z platyny, toby nie tak łatwo rozpadała się ona w kawałki. Otóż Edison zdołał to uczynić i to w sposób następujący. Umieścił drut platynowy pod kloszem pompy pneumatycznej, z którego do wysokiego stopnia wypompowano powietrze. Następnie zaczął ten drut rozgrzewać naprzód słabym prądem, a potem coraz silniejszym. Powietrze wydobywało się na wierzch przez erupcją tworząc szczeliny, i rozchodziło się w rozrzedzonem mocno otoczeniu. Po parogodzinnem nagrzewaniu prąd już był tak silnym, że cały drucik był w stanie na pół stopionym, powietrze już zupełnie na zewnątrz wyszło, szczelinki zamknęły się naprowót i zlepiły.

Po oziębieniu otrzymał Edison drut, który opierał się nawet bardzo silnym prądom. Gdy poprzednio rozpadał się on w kawałki, gdy go nagrzano do temperatury, w której wydawał światło równe sile czterech płomieni gazowych, to potem można go było rozżarzyć aż do dwudziestu pięciu.

Platyna w ten sposób przygotowana zmieniła zupełnie swą twardość, barwę i objętość. Drut stał się cieńszym, połyskującym, barwy do stali podobnej i bardzo twardym.

PROROK POGAŃSKI.

Przecz nie wstanie dusza w Panu i wzlatując w słońce białe,
Nie uderzy o niebiosa? — i Pan na nią nie zawoła,
By, nad światem rozwinąwszy jasne skrzydła archanioła,
Wydźwignęła jeszcze z prochu to człowiecze plemię całe?

Otom schodził wszystkie ścieżki i przebiegłem nawet puszcze,
Przepatrzyłem ludne grody — i prowincje — i mocarstwa —
Wszędym tylko spotkał jedno: miasto ludzi, błędnych tłuszczę;
W ustach słabych pełno głupstwa, w ustach możnych pełno [łgarstwa.

I gdym pytał ich o mądrość, ukazali mi niewiarę;
Kiedym pytał ich o uczty, ukazali mi rozpustę...
Wszystko liche, nędzne, małe... wszystko próżne, wszystko [puste...
Boże! Boże! na te rzesze, jakąż nową spuścisz karę?

Przez obszary krocząc znojne, rozglądałem się po ziemi.
Czy nie zoczę w żółtych piaskach; jako niegdys Mojżesz [stary, —
Śladów tego Ducha mocy, święconego przez ofiary,
Co lud żydów tam zbłąkany wiódł znakami ognistemi.

I myślałem: lud mój błędny, po dniach grzechu i swawoli,
On obdarzy równie w końcu ziemią dobra obiecaną,
A zeslawszy mu tu prawdę, w blaski samych słońc ubraną,
Z jej czarownych, jasnych spojrzeń, pić mu zdrowie też [pozwoli.

Nie znalazłem tego ducha — i szukałem go daremnie
Po przybytkach też mądrości; wielkich szkołach i wszech-[nicach;
Nie ukazał mi się nigdzie... nawet w groźnych błyskawicach,
Gdym go prosił, by swój piorun, zamiast w świat ten, rzucił [we mnie!

Więc gdzież idę jeszcze dzisiaj i kędyż mnie stopy wloką?
Czegóż jeszcze szukam w ziemi, po przestworzu i w niebiosach?
Orgja szału huczy wszędy... chryp rozpusty słychać w głosach...
Śmierć przedemną; prawda w dali; czart zbyt blisko; Bóg [wysoko!

Któż obejmie trwogę moją? któż nad duszą się użali,
Co koniecznie dobra łaknie i co światła chce koniecznie,
A po nocy ciemnych dróżek musi szperać, błądzić wiecznie
Zrozpaczona — niecierpliwa — żarta ogniem co ją pali!

Gdzież prorocy dawnych czasów i gdzie różczki ich zaklęte,
Co by wodę dostać mogły, tam, gdzie dręczy żar i spieka —
Z tłumów dzikich mocą czaru wydobyłyby człowieka
I kazały mu to uczcić, co czci warte i co święte?

Cisza —
W chmurach oto widzę gotowane nowe gromy,
Które mają spaść na świat ten... Któż przed niemi go [ustrzeże?
Starcząż mu te słowa moje za odpory i puklerze?
Za broń przed tą plagą nową stanież mu mój głos znikomy?

Więc, gdy zbawić go nie mogę i nawrócić go nie mogę,
A znów widzieć go tak dłużej, nie mam siły ani woli...

Śmierć (przybywając).

Jestem oto. Ale czekaj! patrz! tam czarny krzyż przy roli...
Przyjdę wówczas, kiedy Chrysta jeszcze spytasz się o drogę.

Bogumił Aspis.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Sen.

— Patrz Danielu — rzekł mi Jakób — kiedy weszliśmy do pokoju hotelu Pilois, to tak jak owej nocy, kiedyś przyjechał do Paryża!

W istocie, tak jak owej nocy, śliczna wieczerza zastawiona na bialutkim obrusie oczekiwała na nas: pasztet miał zapach wyborny, wino

wyglądało bardzo poważnie, jasny płomień świec wesoło zaglądał do szklanek... A jednak, a jednak, nie było to to samo! Są rodzaje szczęścia, które nigdy nie powtarzają się. Wieczerza była taka sama; ale brakowało do niej owego humoru dawnych biesiadników, uszczęśliwionych spotkaniem się, owych projektów pracy, marzeń o sławie i owej świętej ufności, która raduje serce i rodzi głód. Niestety! żaden z tych dawnych towarzyszy nie chciał przybyć do pana Pilois. Wszyscy oni pozostali w dzwonnicy Saint-Germain, a nawet wynurzenie się, które obiecało było nam bytność swoją, w ostatniej chwili oświadczyło, że przyjść nie może.

Oh! nie, to nie było to samo. Czułem to tak głęboko, że uwaga Jakóba nie tylko nie rozweseliła mię, ale przeciwnie łzami napełniła oczy moje. Jestem pewny, że i on także miał wielką ochotę do płaczu; ale miał siłę zapanować nad sobą i, przybierając wesołą minę — rzekł do mnie: „No, Danielu, dosyć tego płaczu. Od godziny już nic więcej nie robisz. (W powozie przez całą drogę płakałem na jego ramieniu, podczas kiedy on mówił do mnie). A to śliczne przyjęcie! Przypominasz mi zupełnie czarne dni historji mojej, ów czas garnczków z klejem i: „Jakóbie, jesteś osioł!" No, otrzyj łzy, młody pokutniku, i przyjrzyj się w zwierciadle, to cię rozśmieszy.

Sporzałem w lustro; ale nie zaśmiałem się. Zawstydziłem się tylko... Miałem moję żółtą perukę, co mi się przyklejała płasko do czoła, na policzkach pełno różu i bielidła, a na tem wszystkiem pot, łzy... Byłem szkaradny! Z uczuciem wstrętu zerwałem z głowy perukę; ale w chwili kiedy już miałem rzucić ją na ziemię, przyszła mi inna myśl, i zawiesiłem ją na samym środku ściany na gwoździu.

Jakób patrzał na mnie zdziwiony: „Po co ją tam wieszasz, Danielu? Ależ to bardzo brzydkie, te trofea dzikiego wojownika... Wygląda to tak, jak gdybyśmy obdarli czaszkę poliszynela."

Na to odpowiedziałem mu bardzo poważnie: „Nie, Jakóbie, to nie trofea, to wyrzut sumienia mego, wyrzut widzialny, dotykalny, który chcę zawsze mieć przed oczyma."

Jak gdyby cień gorzkiego uśmiechu przemknął po ustach Jakóba, ale natychmiast wrócił do swej wesołej miny: „Bah! dajmy temu pokój; teraz kiedyś się obmył i kiedy poznaję nareszcie twoję drogą fizjonomję, siadajmy do stołu, mój ty ładny chłopcze; umieram z głodu".

Nieprawda; nie był głodny, ani ja także! Naprożno starałem się zdobyć na apetyt; wszystko, co jadłem, stawało mi w gardle, i chociaż usiłowałem zachować spokój, ciche łzy spadały na pasztet. Jakób, który spoglądał na mnie z ukosa, — odezwał się po chwili: „Czego płaczesz?... Czy żałujesz tego, żeś tutaj? Czy gniewasz się na mnie, że cię uprowadziłem ztamtąd?"

Smutnie odpowiedziałem mu na to: „Niedobre to słowo, Jakóbie; ale dałem ci prawo mówić mi wszystko."

Czas jakiś jeszcze jedliśmy, a raczej udawaliśmy, że jemy. Nakoniec, zniecierpliwiony tą komedją, którą odegrywaliśmy obydwaj przed sobą, Jakób odsunął swój talerz i powstał: „Nie, kolacja nie wiedzie się; połóżmy się lepiej..."

Jest u nas przysłowie, które powiada: „Sen i smutek nie mogą spać razem." Przekonałem się o tem tej nocy. Moim smutkiem była myśł o tem, jak wiele dobrego zrobił mi Jakób, i jak mu się za to złem odpłaciłem; porównywałem życie moje z jego życiem, moje samolubstwo z jego poświęceniem się, moją duszę słabego dziecka z jego bohaterskiem sercem, które obrało sobie za dewizę: Jedno jest tylko szczęście na ziemi, szczęście drugich Mówiłem też sobie: „Życie moje zwichnięte. Straciłem zaufanie Jakóba, miłość czarnych oczu, szacunek samego siebie... Co teraz pocznę?"

Wszystkie te myśli dręczyły mię aż do samego rana... Jakób nie spał także. Słyszałem, jak się obracał wciąż z jednego boku na drugi i kaszlał często, a kaszel ten szarpał mi uszy i drażnił oczy. Wreszcie zapytałem go z cicha: „Kaszlesz, Jakóbie, czyś chory?"... „To nic... spij..." — odpowiedział mi. I z tonu jego domyśliłem się, że gniewał się na mnie więcej, niż chciał to pokazać. Ta myśl zwiększyła boleść moją i, ukrywszy głowę pod kołdrą, płakałem z cicha, płakałem tak długo, tak długo aż usnąłem nareszcie. Smutek nie daje spać; ale łzy to narkotyk, co sprowadzają sen.

Kiedy obudziłem się, wielki już był dzień. Jakóba nie było obok mnie. Sądziłem, że wyszedł; ale kiedy odsunąłem firanki, ujrzałem go na drugim końcu pokoju, gdzie leżał na kanapie, a tak był blady, oh! tak blady... Jakaś myśl straszna przemknęła mi przez głowę. „Jakóbie" — zawołałem, biegnąc do niego... Spał, mój krzyk nie obudził go. Rzecz dziwna! Na twarzy jego był wyraz smutnego bolu, którego nigdy dotąd nie widziałem u niego, a który jednak był mi już znany. Cierpiałem, patrząc na jego rysy wyciągnięte, wychudłą twarz, blade policzki, chorobliwie przeźroczyste ręce, ale cierpiałem jak gdyby nie po raz pierwszy.

Jednakże Jakób nigdy jeszcze nie chorował. Nigdy przedtem nie widziałem u niego tych podsiniałych oczu, tej wychudłej twarzy... Gdzież i kiedy mogłem widzieć to wszystko?... Nagle stanął mi w pamięci sen mój... Tak, to to samo, to Jakób, którego widziałem we śnie, blady, okropnie blady leżący na kanapie, umarły przed chwilą... Jakób umarł, Danielu Eyssette, i ty to zabiłeś go... W tej chwili blady promień słońca nieśmiało wchodzi przez okno i jak jaszczurka przebiega po martwem obliczu... O radości! umarły budzi się, przeciera oczy i, spostrzegając, że stoję przed nim, mówi z wesołym uśmiechem:

„Dzieńdobry, Danielu. Czy dobrze spałeś? Ja tak mocno kaszlałem, żem się położył na kanapie, by ciebie nie obudzić." Podczas kiedy on tak mówi spokojnie, czuję jak mi nogi trzęsą się jeszcze od okropnego widzenia, co mię tak przeraziło przed chwilą, i w głębi serca mówię: „Boże, zachowaj mi moją matkę, Jakóba!"

Pomimo tego smutnego początku, ranek przeszedł dosyć wesoło. Udało się nam nawet zbudzić echo dawnej naszej wesołości, kiedy ubierając się spostrzegłem, że za całą odzież miałem tylko krótkie spodnie i czerwoną kamizelkę z długiemi połami; teatralne ubranie, które miałem na sobie w czasie porwania.

— Ba! mój kochany — rzekł mi Jakób — niepodobna pamiętać o wszystkiem. Tacy tylko Don Żuani, którym obcą jest wszelka delikatność myślą o wyprawie kochanki, którą porywają... Zresztą, nie bój się. Oporządzimy cię na nowo... Będzie to znowu tak, jak było za przybyciem twojem do Paryża.

Mówił tak, by mi zrobić przyjemność; ale sam czuł to dobrze, tak jak i ja czułem, że nie było to już to samo.

— No, Danielu — mówił dalej mój poczciwy Jakób, widząc, że się znowu zamyślam — zapomnijmy o przeszłości. Nowe życie otwiera się przed tobą; rozpocznijmy je bez wyrzutów sumienia, bez nieufności i starajmy się tylko by ono poszło inaczej jak dawne... Co teraz zamyślasz robić? Nie pytam cię o to, braciszku; ale sądzę, że jeżeli chcesz się wziąć do nowego poematu, będziesz mógł tutaj bardzo dobrze pracować. Pokój spokojny. Ptaszki śpiewają w ogrodzie. Ustawisz warstat swój do rymów przy oknie...

Żywo przerwałem mu: „Nie, Jakóbie, dosyć poematów, dosyć rymów. Fantazje te zawiele cię kosztują. Teraz pragnę już tylko robić jak ty, pracować na życie i z całych sił dopomagać ci do odbudowania ogniska".

Spokojny i uśmiechnięty Jakób odpowiedział mi na to:

—Piękne to projekta, panie motylu niebieski, ale nie tego żąda się od ciebie. Nie chodzi wcale o to, byś zarabiał na życie, i jeżelibyś tylko obiecał... Ale, basta! pomówimy o tem później. Pójdźmy kupić odzienie dla ciebie."

Wychodząc musiałem włożyć jeden z jego surdutów, który sięgał pięt moich; byłem podobny do piemontskiego muzykanta, brakowało mi tylko arfy. Kilka miesięcy temu byłbym umarł ze wstydu, gdybym musiał wyjść na ulicę w podobnem ubraniu; ale teraz tyle innych wstydów miałem na mem czole! Kobiety mogły śmiać się ze mnie, było to już zupełnie co innego, jak za czasów owych kaloszy moich... O nie, nie było to już to samo.

— Teraz, kiedy wyglądasz po ludzku — rzekł mi Jakób — wychodząc od tandeciarza, odprowadzę cię do hotelu Pilois; potem pójdę dowiedzieć się, czy kupiec ten, ktorego rachunki prowadziłem przed wyjazdem, dawać mi będzie i teraz robotę... Pieniądze Pierotte'a nie będą trwały wiecznie; muszę myśleć o chlebie dla nas!

Miałem ochotę powiedzieć mu: „To idź Jakubie do kupca, a ja sam wrócę do domu." Ah, zrozumiałem, o co mu chodziło; chciał być pewnym, że nie wrócę do Montparnasse. Ah! gdyby mógł czytać w sercu mojem.

...Dla jego spokojności dałem mu się odprowadzić do hotelu; ale zaledwie on wyszedł, wybiegłem na ulicę. I ja także miałem interesa do załatwienia...

Kiedy wróciłem, było już póżno. W mroku wieczornym spostrzegłem w ogrodzie wielki cień czarny, który przechadzał się niespokojnie. Była to moja matka, Jakób. „Dobrze, żeś wrócił — rzekł mi trzęsąc się.—Miałem już jechać do Montparnasse"...

Słowa te oburzyły mię na chwilę. Odpowiedziałem gniewnie: „Nadto mi nie ufasz, Jakóbie, to nieszlachetnie... Czy to tak zawsze będzie? Czy nigdy już nie wrócisz mi zaufania swego? Przysięgam ci na wszystko, co mam najdroższego, że nie byłem tam, gdzie ty sądzisz; że ta kobieta umarła dla mnie, że nigdy już nie ujrzę jej więcej, że zdobyłeś mię całego, i że ta straszna przeszłość, z której przywiązanie twoje wydarło mię, pozostawiła mi po sobie tylko wyrzuty, a żadnego żalu... Cóż jeszcze mam ci powiedzieć, jak cię przekonać? Ach! niedobry! Chciałbym otworzyć ci serce moje, a zobaczyłbyś, że nie kłamię."

Co mi odpowiedział na to, niepamiętam; ale wiem, że smutnie pokręcił głową, jak gdyby mówiąc: „Niestety! chciałbym ci wierzyć"... A jednak szczerze czułem to com mówił. Zapewne,

że sam nigdybym nie miał odwagi oderwać się od tej kobiety; ale teraz, kiedy łańcuch pękł, czułem niewypowiedzianą ulgę. Byłem podobny do owych nieszczęśliwych, którzy za pośrednictwem węgla przywołują do siebie śmierć, i żałują tego dopiero w ostatniej chwili, kiedy już zapóźno, kiedy zabójczy wyziew dusi ich i paraliżuje. Nagle sąsiedzi zbiegają się, drzwi rozlatują z trzaskiem, zbawcze powietrze krąży po pokoju, i biedni samobójcy piją je z rozkoszą; szczęśliwi, że żyją jeszcze, obiecują sobie nie próbować już tego więcej. Ja także, po pięciu miesiącach moralnego uduszenia, pełną piersią oddychałem świeżem i silnem powietrzem uczciwego życia, napełniałem niem płuca moje i zaklinam się na Boga, że nie miałem ochoty wracać do dawnego stanu... Ale Jakób nie chciał wierzyć temu, i żadne przysięgi nie przekonałyby go o mojej szczerości... Biedny chłopiec! Tyle ucierpiał już z mojej przyczyny.

Pierwszy ten wieczór przepędziliśmy u siebie, siedząc przy ogniu jak w zimie, bo pokój był wilgotny, i surowe powietrze dochodzące z ogrodu przejmowało nas aż do szpiku kości. Wreszcie, kiedy się jest smutnym, widok płomienia robi pewną przyjemność... Jakób pracował nad cyframi. W czasie jego niebytności kupiec żelaza sam próbował prowadzić książki swoje, a z tego wynikła taka bazgranina, taka plątanina *winien* i *ma*, że trzeba było teraz całego miesiąca wielkiej pracy, żeby przyprowadzić to wszystko do porządku. Naturalnie, że pragnąłbym bardzo dopomódz Jakóbowi w tej robocie. Ale niebieskie motyle nie rozumieją się wcale na matematyce, to też nie mogłem podołać owym grubym handlowym zeszytom, poliniowanym na czerwono i straciwszy godzinę całą nad dziwacznymi ich hieroglifami, musiałem rzucić pióro do djabła.

Jakób doskonale radził sobie z tą suchą pracą. Brał się odważnie do największych liczb; ogromne ich kolumny nie przestraszały go. Od czasu do czasu, trochę zaniepokojony mojem milczącem dumaniem, obracał się ku mnie i mówił:

— Dobrze nam, nieprawdaż? nie nudzisz się przynajmniej?

Nie nudziłem się, ale smutno mi było patrzeć, jak wiele trudu on zadaje sobie i z goryczą myślałem: „Po co ja żyję?... Nie potrafię nic robić rękami mojemi... Nie opłacam miejsca mego na świecie. Umiem tylko męczyć ludzi i być przyczyną łez dla tych, którzy mię kochają..." Mówiąc tak, myślałem o czarnych oczach i z boleścią patrzałem na małe pudełko w złocone prążki, które Jakób umieścił, może umyślnie, na kwadratowym wierzchołku zegara. Ileż rzeczy przypominało mi ono, to pudełko! Jakież wymowne słowa rzucało mi ze szczytu swej podstawy z bronzu! „Czarne oczy oddały ci serce swoje, co z niem zrobiłeś — mówiło mi — rzuciłeś je na pastwę zwierząt... Biała-Kukułka pożarła je..."

Ale ja, w głębi serca chowając jeszcze odrobinę nadziei, usiłowałem przywołać do życia, rozegrzać tchnieniem całe to dawne szczęście moje, które zabiłem własną ręką. „Może jeszcze pora... Może oczy czarne, ujrzawszy mię u nóg swoich, przebaczyłyby mi jeszcze..." Ale to przeklęte pudełko nie dawało się wzruszyć i powtarzało wciąż: „Biała-Kukułka zjadła je!... Biała-Kukułka zjadła!..."

...Długi ten wieczór, który spędziliśmy przed ogniem, pracując i dumając, dosyć dobrze przedstawia czytelnikom moim nowe życie, jakie mieliśmy prowadzić odtąd. Wszystkie dni następne podobne były do tego wieczoru... Naturalnie, że to nie Jakób dumał. Po dziesięć godzin siedział nad swemi grubemi książkami, po uszy zatopiony w rachunkach. Tymczasem ja grzebałem w ogniu i grzebiąc mówiłem do pudełka w złote prążki: „Pomówmy trochę o czarnych oczach, dobrze?.." Bo z Jakóbem mówić o tem, ani podobna było myśleć. Dla tej lub owej przyczyny unikał zawsze rozmowy o tym przedmiocie. Nawet o Pierrocie ani słowa nie odzywał się. Nic... To też wynagradzałem to sobie z małem pudełkiem; prowadziliśmy z sobą nieskończone rozmowy.

Koło południa, kiedy widziałem, że Jakób był w samym zapale pracy, cichym krokiem zbliżałem się do drzwi i wymykałem z pokoju powoli mówiąc: "Zaraz wrócę, Jakóbie." Nigdy nie pytał mię gdzie idę; ale z miny jego nieszczęśliwej, z niespokojnego tonu, którym mi odpowiadał: „Idziesz?" widziałem, że nie bardzo mi ufa. Wspomnienie tej kobiety nie dawało mu spokoju. Myślał sobie: „Zginiemy, jeżeli zobaczy ją!...

I któż wie? Może miał słuszność? Gdybym ujrzał tę przeklętą czarownicę, może znowu uległbym wpływowi, jaki wywierała na mnie, ze swą grzywą jasno-złocistą i białym znakiem koło wargi... Ale, dzięki Bogu, nie spotkałem jej. Jakiś nowy pan od ósmej do dziesiątej wybił jej zapewne z głowy Dani-dan'a, i nigdy więcej, nigdy nie słyszałem nic o niej, ani o jej kakatoe, ani o jej murzynce, Białej-Kukułce.

Pewnego wieczora, wracając z jednej z owych tajemniczych wycieczek moich, wpadłem do pokoju radośnie, wołając: „Jakóbie! Jakóbie! Dobra nowina. Znalazłem miejsce... Od dziesięciu dni już, nic ci nie mówiąc, zbijałem bruk w tym celu... Nakoniec znalazłem. Mam miejsce... Od jutra wchodzę do szkółki Ouly, jako ogólny nadzorca; jestto w Montmartre, bliziutko od nas... Będę tam od godziny siódmej rano do godziny siódmej wieczór... Wiele to czasu będzie strawionego daleko od ciebie, ale przynajmniej zapracuję na życie dla siebie i ulżę ci trochę ciężaru."

Jakób podniósł głowę z nad cyfr swoich i odpowiedział mi dosyć zimno: „Na honor, mój drogi, dobrze robisz pomagając mi... Za ciężko mi byłoby podołać wszystkiemu... Nie wiem co mi jest; ale od niejakiegoś czasu czuję się jak nie swój." Gwałtowny kaszel przerwał mu mowę. Z wyrazem smutku rzucił pióro i padł na kanapę... Widząc go, jak leżał blady, okropnie blady, straszne widzenie snu mego raz jeszcze przesunęło się przed oczami memi, ale przemknęło błyskawicą... Prawie zaraz-że Jakób podniósł się i patrząc na moją przerażoną minę zaczął śmiać się:

— To nic, gamoniu. Trochę zmęczenia tylko... Za wiele pracowałem temi czasy... teraz, kiedy masz miejsce, nie będę się tak spieszył z robotą i za tydzień wyzdrowieję.

Mówił to tak naturalnie z twarzą, tak uśmiechniętą, że smutne moje przeczucia uleciały i przez cały miesiąc nie słyszałem uderzenia ich skrzydeł czarnych...

Nazajutrz wstąpiłem do zakładu Ouly.

Pomimo swego szumnego nadpisu, zakład Ouly był tylko szkółką dla śmiechu, trzymaną przez starą jakąś jejmość cierpiącą na skruchę; dzieci nazywały ją „przyjaciółką." Było tam ze dwudziestu człowieczków, ale to samych malutkich, co to przychodzą do szkoły z podwieczorkiem w koszyku i z koniuszkiem koszuli, wiecznie wyglądającym ze spodenek. Byli to nasi uczniowie. Pani Ouly uczyła ich hymnów; ja zapoznawałem z tajemnicami alfabetu. Oprócz tego, musiałem pilnować ich podczas rekreacji na dziedzińcu, gdzie były kury i indyki, których ci panowie mocno się obawiali.

Czasami także, kiedy „przyjaciółka" zachorowała na podagrę, ja zamiatałem klasę; zajęcie to nie bardzo odpowiadało godności ogólnego nadzorcy, robiłem to jednak bez wstrętu, tak bardzo czułem się szczęśliwy, że mogłem zapracować na życie moje... Wieczorem, wróciwszy do hotelu Pilois, zastawałem obiad już na stole i Jakóba oczekującego na mnie... Po obiedzie, przechodziliśmy się parę razy po ogrodzie, potem następowało posiedzenie przy ogniu... Oto całe życie nasze.. Od czasu do czasu odbieraliśmy list od pana albo pani Eyssette; były to najważniejsze wypadki dla nas. Pani Eyssette żyła wciąż jeszcze u wuja Baptysty; pan Eyssette zawsze podróżował jako ajent *Towarzystwa handlowego.* Interesa szły nieźle. Trzy czwarte części długu w Lugdunie spłacone już były. Za rok lub dwa wszystko miało być załatwione i wtenczas można będzie pomyśleć o wspólnem życiu znowu...

Ja byłem tego zdania, żeby tymczasem sprowadzić panią Eyssette do hotelu Pilois, ale Jakób nie zgadzał się na to.

— Nie! jeszcze nie — mówił dziwnym tonem, nie jeszcze... zaczekajmy." Odpowiedź ta, zawsze ta sama, rozdzierała mi serce. Myślałem sobie: „Nie dowierza mi... Lęka się, bym znowu nie zrobił szaleństwa jakiego, kiedy pani Eyssette będzie tutaj... Dlatego chce czekać jeszcze..." Myliłem się... Nie dlatego Jakób mówił: „Czekajmy!..."

XV.

. . . .

Czytelniku, jeżeli jesteś niedowiarkiem, jeżeli szydzisz ze snów, jeżeli serce twe nigdy nie było tknięte, tknięte aż do żywego, przeczuciem rzeczy mających stać się w przyszłości; jeżeli jesteś człowiekiem pozytywnym, jednym z owych silnych umysłów, nad którymi rzeczywistość tylko panuje i dla których najlżejszy przesąd nie istnieje wcale; jeżeli na żaden sposób nie chcesz wierzyć w rzecz nadprzyrodzoną, ani przypuścić tego, czego sobie wytłumaczyć nie umiesz, nie kończ tych pamiętników. To, co mi pozostaje do powiedzenia, jest tak prawdziwem, jak wieczna prawda; ale nie uwierzysz temu.

Było to czwartego grudnia...

Wracałem z zakładu Ouly prędzej jeszcze niż zwykle. Rano, pozostawiłem Jakóba w domu skarżącego się na wielkie znużenie i niepokoiłem się bardzo o niego. Przechodząc przez ogród natknąłem się o pana Pilois; stojąc pod drzewem rozmawiał po cichu z jakimś jegomościem grubym a krótkim, który zdawał się być mocno zajęty zapinaniem rękawiczek swoich.

Ukłoniwszy się im, chciałem przejść mimo, kiedy właściciel hotelu zatrzymał mię:

— Słówko, panie Danielu!

Potem zwracając się ku tamtemu dodał:

— Jestto ten młody człowiek, o którym mowa. Sądzę, że dobrze będzie, jeżeli go pan uprzedzisz...

Zatrzymałem się mocno zaciekawiony. O czem miał mię uprzedzić gruby jegomość? Że jego rękawiczki nadto były ciasne na grube łapy? Widziałem to dobrze sam przecie!...

Nastąpiła chwila milczenia i zakłopotania. Pan Pilois z nosem do góry patrzał na swoje figowe drzewo, jak gdyby szukał na niem niewidzialnych owoców. Gruby jegomość wciąż zajęty był rękawiczkami swemi... Nakoniec zdecydował się przemówić, nie wypuszczając jednak z palców guzika, który trzymał.

— Od dwudziestu lat jestem doktorem hotelu Pilois i śmiem twierdzić...

Nie pozwoliłem mu dokończyć. Wyraz doktor oświecił mię odrazu. „Odwiedziłeś pan mego brata? zapytałem drżąc... Chory jest bardzo, nieprawdaż?“

Może być, że doktor ten nie był złym człowiekiem, ale w tej chwili nic go oprócz rękawiczek nie zajmowało; to też nie myśląc o tem, że mówi do dziecka Jakóba, nie starając się wcale złagodzić ciosu, który zadawał, rzekł krótko: „Spodziewam się, że chory... Nie przeżyje tej nocy.“

Dobrze ugodził, możecie mi wierzyć. Dom, ogród, pan Pilois, doktor, wszystko wirowało w oczach moich. Musiałem oprzeć się o drzewo.... Silną miał rękę doktor ów hotelu Pilois!... Zresztą nie spostrzegł wrażenia jakie sprawił i z największym spokojem mówił dalej, wciąż zapinając rękawiczki: „Są to suchoty galopujące.... Nic na to poradzić nie można, przynajmniej nic skutecznego... Zresztą, wezwano mię zapóźno, jak zawsze.“

— Nie moja to wina, doktorze,—rzekł poczciwy pan Pilois, który wytrwale upatrywał fig na drzewie. Był to jego środek ukrycia łez, — to nie moja wina. Oddawna widziałem, że biedny ten pan Eyssette chory jest bardzo, i często namawiałem go, żeby się poradził kogo; ale nie zgadzał się na to. Bał się zapewne przestraszyć brata... Jak się to kochały te biedny dzieci!

Rozpaczliwy jęk wyrwał mi się z piersi.

— Odwagi, mój chłopcze!—rzekł z dobrocią gruby jegomość — któż wie? nauka wyrzekła ostatnie swe słowo, ale natura rozporządza nieznanemi nam siłami.... Wrócę jutro rano.

To powiedziawszy, skręcił się na pięcie i oddalił z miną zadowolnioną: zapiął jeden guzik!

Przez chwilę jeszcze zostałem w ogrodzie, dla otarcia łez i uspokojenia się trochę; wreszcie wezwawszy całą odwagę na pomoc, ze swobodną miną wszedłem do pokoju

To, co ujrzałem otworzywszy drzwi, znowu przeraziło mię okropnie. Chcąc zapewnie pozostawić dla mnie łóżko, Jakób kazał dla siebie położyć materac na kanapie, i tam znalazłem go: blady był straszną bladością, zupełnie tak jak ten Jakób, którego widziałem był we śnie...

Pierwszą moją myślą było porwać go na ręce, zanieść na łóżko lub gdziekolwiek bądź, byle go nie widzić na tej kanapie, nie widzieć tak; ale zaraz pomyślałem sobie: „Nie będziesz mógł podnieść go, za wielki jest dla ciebie!“ Wówczas, patrząc na mego Jakóba, jak bez ratunku leżał tam, gdzie podług snu musiał umrzeć, cała odwaga opuściła mię; nie mogłem utrzymać na twarzy owej maski przymuszonej wesołości, którą przybieramy dla uspokojenia konających i wylewając potoki łez, padłem na kolana przy kanapie.

Jakób z trudnością obrócił się ku mnie.

— To ty, Danielu.. Spotkałeś doktorà, nieprawdaż? A tak prosiłem grubasa tego, żeby cię nie przestraszał. Ale z miny twojej widzę, że nie zważał na to, i że wiesz już o wszystkiem... Daj mi rękę, braciszku... Któż u licha mógłby spodziewać się czegoś podobnego? Są ludzie, co jeżdżą do Nicei dla uleczenia się od choroby piersiowej; a ja pojechałem tam po nią. To zupełnie oryginalnie... Oh! Ale jeśli będziesz rozpaczał, to mi odbierzesz całą odwagę, i tak już nie bardzo jestem mężny... Dziś rano, kiedyś wyszedł, zrozumiałem, że źle się dzieje. Posłałem po proboszcza od S. Piotra; był u mnie, i zaraz wróci z sakramentami...Zrobi to przyjemność matce naszej, rozumiesz... Dobry to człowiek, ten proboszcz... Nazywa się tak jak twój przyjaciel, ten twój przyjaciel z kolegium Sarlande.

Nie mógł mówić dalej i opadł na poduszkę, zamykając oczy. Sądziłem, że kona, i głośno zacząłem wołać: „Jakóbie! Jakóbie! mój przyjacielu!...“ Nie mówiąc nic, ręką tylko kilkakrotnie dał mi znak: „Cyt! cyt!“

W tej chwili drzwi otworzyły się. Pan Pilois wszedł do pokoju, a za nim gruby mężczyzna, który jak kula potoczył się do kanapy, krzycząc—Czego dowiaduję się, panie Jakóbie?...Że tak powiem...“

— Dzień dobry, Pierrotte — rzekł Jakób, otwierając oczy — dzieńdobry, mój stary przyjacielu. Byłem pewny, że przyjdziesz na pierwsze wezwanie... Ustąp mu miejsca, Danielu; mamy z sobą do pomówienia.

Pierrotte zbliżył wielką swą głowę prawie do samych ust umierającego, i długą chwilę tak rozmawiali po cichu... Ja, nieruchomie stojąc na środku pokoju, patrzyłem na nich. Trzymałem jeszcze książki pod pachą. Pan Pilois wziął je odemnie i mówił coś przytem, ale nie rozumiałem go; potem zapalił świece i wielką białą serwetą nakrył stół. Patrząc na to, myślałem sobie: Po co on to robi?... Czy to do obiadu?... ależ ja nie chcę jeść!“

Noc zapadała. W ogrodzie mieszkańcy hotelu, spoglądając na okna nasze, dawali sobie znaki. Jakób i Pierrotte wciąż mówili z sobą. Od czasu do czasu słyszałym gruby głos Sewenolczyka: „Tak, panie Jakóbie... Tak, panie Jakóbie...“ Ale nie śmiałem zbliżyć się... Nakoniec, Jakób przywołał mię i kazał mi stanąć obok Pierrotte'a:

— Danielu, mój najdroższy — rzekł mi po chwilowem milczeniu — smutno mi bardzo, że muszę cię opuścić; ale pociesza mię rzecz jedna; nie sam będziesz i nadal na świecie... Pozostawiam ci Pierrotte'a, dobrego Pierrotte'a, który przebacza ci i zobowiązuje się zastąpić mię przy tobie...

— Oh! tak, panie Jakobie, zobowiązuję się... Że tak powiem... zobowiązuję się...

— Bo widzisz, mój ty biedny mały,—mówił dalej Jakób,—nigdy sam jeden nie potrafisz odbudować ogniska... Nie chcę ci robić przykrości, ale muszę wyznać, że zły z ciebie budowniczy ogniska... Ale, sądzę, że przy pomocy Pierrotte'a zdołasz urzeczywistnić piękne marzenie nasze... Nie proszę cię, żebyś usiłował stać się mężczyzną; tak, jak ksiądz Germane myślę, że całe życie pozostaniesz dzieckiem. Ale zaklinam cię, żebyś był dobrem dzieckiem, poczciwem dzieckiem, a nadewszystko... Zbliż się, powiem ci na ucho,... a nadewszystko staraj się, by czarne oczy nie płakały na ciebie.

Tutaj mój biedny najdroższy odpoczął chwilę; potem mówił dalej:

— Kiedy wszystko skończy się, napiszesz do ojca i do mamy. Ale nie trzeba mówić im wszystkiego odrazu... Za ciężko byłoby to na nich... Rozumiesz teraz, dla czego nie sprowadziłem pani Eyssette; nie chciałem, żeby tu była teraz. Złe to bardzo chwile dla matek...

Przerwał mowę i spojrzał w stronę drzwi:

— Otóż i pan Bóg!—rzekł uśmiechając się. I dał nam znak, byśmy się usunęli.

Przyniesiono wiatyk. Hostja i święte oleje zajęły miejsce na białym obrusie, między świecami. Ksiądz zbliżył się do łóżka, i obrządek rozpoczął się...

Kiedy skończyło się — oh! jakże mi się to wydało długiem! — Kiedy skończyło się, Jakób z cicha przywołał mię do siebie:

„Pocałuj mię,“ rzekł mi; a głos jego tak był słaby, że zdawało się, jak gdyby mówił do mnie zdaleka... W istocie musiał być daleko, od dwunastu godzin straszliwe galopujące suchoty porwały go w swe szpony i w całym galopie niosły do śmierci!...

Kiedym zbliżył się dla pocałowania go, moja ręka spotkała rękę jego, tę drogą rękę wilgotną od potu śmiertelnego. Chwyciłem ją i nie puściłem już więcej... Byliśmy tak, nie wiem jak długo; może godzinę, może wieczność, nin wiem tego wcale... Nie widział mię, nie mówił do mnie... Tylko razy kilka ręka jego poruszyła się w mojej, jak gdyby mówił: „Czuję, że jesteś tu.“ Nagle, przeciągłe drganie wstrząsnęło całem ciałem jego od stóp do głowy. Ujrzałem, jak oczy otworzył i spojrzał dokoła, jak gdyby szukając kogoś; pochyliłem się ku niemu wówczas i usłyszałem, jak dwa razy powtórzył cichutko: „Jakóbie, jesteś osioł... Jakóbie, jesteś osioł...“ potem nic już... Skonał...

...Oh! sen mój!...

Okropny wiatr dął tej nocy. Grudzień pełnemi garściami ciskał grad o szyby. W rogu pokoju, na stole srebrny krucyfiks błyszczał między świecami. Przed krucyfiksem klęczał ksiądz jakiś, którego nie znałem, i silnym głosem modlił się wśród huku wiatru... Ja, nie płakałem; nie modliłem się też wcale... Miałem tylko jedną myśl, myśl upartą rozegrzania ręki mego ukochanego, ręki, którą mocno ściskałem w dłoniach moich. Niestety! im więcej zbliżał się ranek, tem bardziej ręka ta stawała się ciężką i lodowatą...

Nagle ksiądz, który modlił się po łacinie przed kurcyfiksem, powstał i, zbliżywszy się do mnie, uderzył mię po ramieniu.

— Spróbój modlić się—rzekł mi... — To ci ulgę przyniesie.

Wtenczas dopiero poznałem go... Był to mój stary przyjaciel z kolegjum Sarlande, ksiądz Germane ze swoją piękną posiekaną twarzą i miną żołnierza, w sutanie... Tak silnie przygnębiony byłem boleścią, że nie zadziwiłem się wcale, ujrzawszy go tutaj. Wydało mi się to zupełnie naturalnem... Ale ponieważ zjawisko to mogłoby się wydać czytelnikowi mniej naturalnem, muszę mu zatem wyjaśnić, jakim sposobem profesor kolegjum w Sarlande znalazł się w tym pokoju zmarłego.

Może czytelnik przypomina sobie, jak w dzień wyjazdu tego Małego z Sarlande, ksiądz Germane powiedział mu: „Mam wprawdzie brata w Paryżu, poczciwego księdza, ale ba! Po co ci adres jego?... Jestem pewny, że nie poszedłbyś do niego.“ I oto co to jest przeznaczenie! Ten brat księdza był proboszczem przy kościele św. Piotra w Montmartre, i biedny Jakób, będąc już na łożu śmiertelnym, wezwał go do siebie. Właśnie w tymże czasie ksiądz Germane przejazdem był w Paryżu i mieszkał na probostwie... Wie-

czorem 4 grudnia, brat jego mówi mu, wróciwszy od Jakóba:

— Byłem ze świętymi olejami u nieszczęśliwego dziecka, które umiera niedaleko ztąd. Trzeba pomodlić się za niego, księże.

Ksiądz odpowiedział: — Będę pamiętał o tem, odmawiając mszę jutro. Jakże się nazywa?

— Zaczekaj... nazwisko to południowe, dosyć trudne do zapamiętania... Jakób Eysset... Tak, tak, Jakób Eysette... Jakób Eyssette.

To nazwisko Eyssette przypomniało księdzu pewnego znajomego mu małego piona; nie tracąc ani chwili, pobiegł do hotelu Pilois... Wszedłszy spostrzegł mię stojącego przy kanapie i trzymającego Jakóba za rękę. Nie chciał przeszkadzać mi w boleści mojej i wyprawił wszystkich, mówiąc, że będzie czuwać ze mną; potem ukląkł i dopiero późno już w nocy, przestraszony milczeniem mojem i nieruchomością, uderzył mię po ramieniu i dał się poznać...

Od tej chwili nie wiem już, co się działo. Koniec tej strasznej nocy, dzień, który po niej nastąpił, nazajutrz po tym dniu i wiele jeszcze dni następnych, nie zostawiły mi po sobie żadnego wyraźnego wspomnienia. Na ich miejsce wielka próżnia pozostała w pamięci mojej. Przypominam sobie jednak — ale bardzo niedokładnie, jak o rzeczach, które miały miejsce przed wielu, wielu laty — przypominam sobie długi, nieskończony pochód po błocie Paryża za czarnym wozem. Widzę siebie idącego z odkrytą głową, między Pierrotte'm i księdzem Germane. Zimny deszcz, pomięszany z gradem, bije nas po twarzy. Pierrotte ma wielki parasol; ale trzyma go tak źle i deszcz tak gęsty pada, że sutana księdza aż kapie i świeci się cała... Leje! leje! oh! jak leje!

Blisko nas, obok wozu, idzie wysoki jakiś jegomość cały w czerni i niesie w ręku hebanową laskę. Ten, to jest mistrz ceremonji, rodzaj szambelana śmierci. Tak jak wszyscy szambelani, ma jedwabny płaszcz, szpadę, krótkie spodnie i kapelusz składany... Czyżby to być miało tylko przywidzenie umysłu mego... Zdaje mi się, że ten dziwaczny człowiek podobny jest do pana Viota, inspektora kolegjum Sarlande. Wysoki jest jak tamten, jak tamten trzyma głowę przechyloną na ramię, i ile razy spojrzy na mnie, widzę w nim ten sam uśmiech fałszywy i lodowaty, który błądził po ustach strasznego inspektora. Nie jest to pan Viot, ale może to cień jego.

Czarny wóz posuwa się ciągle, ale tak wolno, tak wolno... Zdaje mi się, że nigdy nie dojedziemy... Nakoniec otóż jesteśmy w ogrodzie smutnym, pełnym żółtawego błota, w którem grzęźniemy po kostki. Zatrzymujemy się nad wielką dziurą. Ludzie w krótkich płaszczach przynoszą wielkie, bardzo ciężkie pudło, które trzeba spuścić do dołu. Trudno to idzie. Sznury, sztywne od deszczu, nie chcą przesuwać się. Słyszę, jak jeden z tych ludzi krzyczy: „Nogi naprzód! Nogi naprzód!... „Naprzeciw mnie, z drugiej strony dołu, cień pana Viot'a, z głową przychyloną na ramię, wciąż uśmiecha się do mnie. Długi, wązki, obcisnięty żałobnem ubraniem, cień ten odbija na szarem tle nieba, jak wielka czarna szarańcza zupełnie mokra...

Teraz jestem sam z Pierrotte'm. Idziemy przedmieściem Montmartre... Pierrotte szuka powozu, ale nie może go znaleźć... Ja idę obok niego z kapeluszem w ręku; zdaje mi się, że wciąż jeszcze postępuję za karawanem... Przez całe przedmieście ludzie oglądają się za tym grubym mężczyzną, który płacze, wołając fiakra, i za tem dzieckiem, co po deszczu ulewnym idzie z odkrytą głową...

Jedziemy, jedziemy ciągle. Znużony jestem, i głowa mi tak cięży, tak cięży... Nakoniec, otóż i pasaż Saumon, dawny dom Lalouette z malowanemi okiennicami, z których spływa zielona woda... Nie wchodząc do sklepu, idziemy do Pierrotte'a... Na pierwszem piętrze siły mię opuszczają. Siadam na stopniu. Nie mogę iść dalej; głowa nadto mi cięży... Pierrotte bierze mię na ręce; podczas kiedy on mię tak niesie na wpół umarłego i trzęsącego się z gorączki, słyszę jak grad bije o szyby pasażu, i woda z rynien spada z hałasem na dziedziniec... Leje! leje! oh! jak leje!

(Dok. nast.)

Kronika tygodniowa.

(Wilja. Komedja konkursowa „Zabiegi". Tramwaj. Towarzystwo ruskich dam i dwa ss. Ze świata muzycznego. Brahms i Joachim. Artyści polscy w Wiedniu i Krakowie).

Zeszyt ten *Tygodnia* zastanie czytelników przy wilji...

Starym zwyczajem łamać się będziecie opłatkiem, wypowiadając życzenia. Niech wtedy i od nas ku Wam pozdrowienie zaleci, i podczas mowy o szczęściu domowem w rodzinnem kółku, przyjmijcie od nas szersze życzenia:

Niech nam jak najprędzej zabłyśnie odrodzenie!

A gdy do uczty pozasiadacie i do ust strawę zbliżać zaczniecie — przypomnijcie o tem, że są tysiące głodnych i marznących, którym teraz suchego chleba kawałek najwyższą byłby rozkoszą.

Wy co sutą spożywać będziecie Wilją pamiętajcie o Szlązku...

Dotąd ci, co sami jeść nie mają najwięcej o nim pamiętali.

* * *

Wystawiono w czwartek trzecią z rzędu konkursową komedję p. t. „Zabiegi". Rzecz dziwna: publiczność zgromadziła się tym razem wyjątkowo licznie. Parter i loże były zapełnione. Dobry to znak na przyszłość, bo spodziewać się można że nowiny oryginalne potrafią ściągnąć widzów.

Z trzech sztuk konkursowych tegorocznych, komedja *Zabiegi* bez żadnej wątpliwości zajmuje najpierwsze miejsce. W każdym razie rzecz to niepowszednia, nie według zwykłego szablonu wykrojona. Znać to było zaraz po przyjęciu jakiego sztuka doznała u krytyków i publiczności, po namiętnych i ożywionych sporach, które zaraz wywołała.

Sztuka ta jest satyrą wymierzoną przeciw fałszywemu patrjotyzmowi, przeciw tym, którzy mając święte słowa na ustach, jak dobro ojczyzny, pożytek kraju, poświęcenie dla sprawy ogólnej, myślą tylko o swoim pożytku i swojej kieszeni.

Tendencja ta jest przewodnią myślą całego utworu, słabą jednak stroną sztuki jest że w niektórych miejscach, jak np. w akcie trzecim występuje ona *nie jasno* i niezbyt uważny widz może chwilowo sądzić, iż autor drwi z patrjotyzmu ludzi wprawdzie głupich ale uczciwych, a tego przecież czynić nie wolno. Wiele winni tu byli aktorowie, którzy szarżą niepotrzebną, jakby naumyślnie, starali się podnieść tę stronę słabą i wywoływali tym niesmaczne wrażenie. A tymczasem oni to właśnie mogli tak złagodzić owe sceny na balu w akcie trzecim, w którym hasła patrjotyczne sypią się jak z rogu obfitości, że ton ogólny byłby zupełnie odmiennym.

Autor pobłądził, że w całej sztuce nie przedstawił ani jednego prawdziwie dodatniego charakteru, z wyjątkiem ślicznej postaci poetycznego dziennikarza, która jednak nie należy do osób w sztuce rozstrzygających. Widać cały tłum nędzników i głupców krzyczących Ojczyzna! Ojczyzna! a dodających w duchu kieszeń! kieszeń! Wygląda to tak, jakby u nas nie było innych ludzi i tendencja właśnie wskutek tego niejasno się przedstawia. Autor zapomniał, że chcąc rzecz jakąś uwydatnić, trzeba ją porównać z czemś wprost odmiennem. Na tle czarnem najjaśniej odbija kolor biały. Gwiazdy są widoczne tylko w noc, kiedy tło nieba jest ciemne. Trzeba nam było pokazać, około tego tłumu dusz pospolitych i nędznych antytezę, w postaci człowieka prawdziwie i szczerze kraj miłującego a czynnie udział w akcji biorącego.

Lecz pominąć można słabą tę stronę, bo *Zabiegi* mają do wynagrodzenia mnóstwo miejsc przepysznych z ogromnym talentem i dowcipem stworzonych. Świetnym jest akt drugi, tak co do prostoty, jak i niezwykłego ożywienia i dowcipu. Męzkie charaktery narysowane misternie, kobiece słabiej. Artyści z wyjątkiem aktu trzeciego, grali wybornie. Zamojski w postaci głównego bohatera był przepysznym i zbierał liczne a prawdziwie zasłużone oklaski. Ładnowski i Fiszer stworzyli nowe, a bardzo sympatyczne dwa typy: dziennikarza i żyda.

Konkurs jak nam się zdaje, już na pierwszem przedstawieniu został rozstrzygnięty. Między dwoma dawniej przedstawionemi sztukami konkursowemi, a ostatnią jest różnica tak wielka, że wątpliwości być nie może.

* * *

Kolej konna lwowska, która grodowi naszemu miała nadać dumny koloryt wielkomiejski, nieszczególnem cieszy się powodzeniem. Przejechano się wprawdzie przed dwoma tygodniami dwa razy po mieście i wyprawiono sute śniadanie — ale do tej chwili tramwaj jest jeszcze mglistym mitem. Przedewszystkiem winna tu aura, która widocznie hołdując patrjarchalnym środkom komunikacyjnym, zaścieliła w grudniu tory tramwajowe grubemi warstwami śniegu.

Drugi nieprzyjaźny żywioł urósł dla kolei konnej w dorożkarzach lwowskich, którzy nowej instytucji zaprzysięgli krwawą zemstę. Antagonizm ich objawiał się początkowo w sposób niewinny, chociaż nieco buńczuczny: oto wyprawiali sobie na torach tramwajowych szlichtadę w celu uszkodzenia takowych. W zeszłym atoli tygodniu dorożkarze umyślili zdobyć sobie uznanie za pomocą średniowiecznego prawa pięści. W jednym szynku koalicja dorożkarska pobiła konduktora tramwaju tak, że tenże obecnie leży śmiertelnie chory w szpitalu. Zapał ten spotęgowała wódka, z której jak wiadomo, wypływa wszelkie zdziczenie obyczajów.

* * *

W ubiegłym tygodniu odbyła się także inna walka. Widownią zapasu w tym wypadku nie jest szynk żydowski, ale salon ruski; bohaterami nie są dorożkarze silnego ramienia i dzikiego wzroku, ale damy o drobnych rączkach i czarującem wejrzeniu.

Grono młodych kobiet unickiego wyznania, żony i córki urzędników lwowskich, zawiązały przed rokiem „stowarzyszenie dam ruskich,“ którego celem ma być krzewienie ducha narodowego.

Onegdaj odbyło się pierwsze walne zgromadzenie.

Ponieważ krzewienie ducha narodowego na Rusi w guście świętojurskim wiecznym jest rebusem, przeto Korneljeruskie rozpoczęły pracę patrjotyczną *ab ovo*, tj. poczęły zastanawiać się nad pisownią wyrazu: ruski.

Ten wyraz jest, jak wiadomo, osią, około której obraca się cały fatalny ruch onej garstki Rusinów, którzy w zaślepieniu lub złej wierze oddzielili się od trójjedynego a niepodzielnego narodu polskiego.

Zwolennicy moskwicyzmu piszą: russki (dwa s).

Czerwonorusy używają: ruski (jedno s).

Ukrainofile piszą: ruśki (miękkie s).

Wielka ta, a przez 30 przeszło lat secesji ruskiej niezałatwiona sprawa stanowiła także temat walnego zgromadzenia „dam ruskich“.

Rozprawa była burzliwa.

Pięknie skrojone usta krzywiły się nielitościwie, kiedy wygłaszały filipikę przeciw jednemu *s*; z oczu czarnych, z źrenic błękitnych strzelały błyskawice, kiedy oratorki po kolei wydobywały z kryjówek mózgowych wszystkie zasoby wiedzy filologicznej — po dwugodzinnej ciężkiej batalji, w której toku wszystkie twarze i twarzyczki pałały zapałem lub oburzeniem, zwyciężyły nareszcie dwa *ss* a jedno *s* i miękkie *ś* upadły sromotnie w sercach niewieścich.

Po skończeniu zgromadzenia udały się starsze damy ruskie do domu gotować wieczerzę, a młodsze poszły z zeszytem *Musique* i gramerą w ręku do szkoły...

* * *

Na Styczeń przygotowują się prawdziwe uroczystości muzyczne...

Przyjeżdża Joachim — pierwszy z żyjących skrzypków na świecie; niezaprzeczenie jemu należy palma pierwszeństwa — słyszeliśmy to osobiście z ust Wieniawskiego, Barcewicza...

Jednocześnie przybędzie i Brahms. Tego nazwiska rekomendować nie potrzebujemy. Nie ma ani jednej osoby grającej jako tako na fortepianie, któraby nie znała jego utworów. Przypomnijmy tylko sobie owe świetne, pełne werwy i poezji tańce węgierskie.

Najznakomitsza para, jaką dobrać można.

Tymczasem melomani lwowscy zadowalają się operą, która istotnie teraz wyśmienicie jest obsadzoną.

Pani Skalska, samorodny talent, który jeszcze przed rokiem nie miał wyobrażenia o szkole, zyskuje zasłużone oklaski. Głos jej, acz do dramatycznych partyj niezdolny, ujmuje miękkością.

P. Manfrini, tenor więcej heroiczny, każe nam zapomnieć o Zakrzewskim, który obecnie gości w Kijowie.

Pani Donati wcale dobra.

Ale cóż z tego, że dyrekcja opery postarała się o tyle metalicznych głosów, kiedy publiczność w zamian za nie bardzo mało metalu składa w kasie teatralnej!

Szczególne usposobienie tej naszej publiczności. Niektórzy odziewają się w togę zelotyzmu patrjotycznego i wołają: „Żądamy opery polskiej a tu śpiewają Włosi!“ Na to odpowiemy, że „Rigoletto“ zawsze jest włoskim a Moniuszko wiecznie będzie polskim, chociażby nawet kompozycje jego śpiewano po turecku... Inni siadają do katedry ekonomicznej i szepczą z westchnieniem: Ciężkie czasy! — Ale te fatalne ciężkie czasy nie przeszkadzają lwowskim Geldhabom rozmaitego herbu i wyznania, zalegać nocne Tingl-Tangle u stóp fizycznie i moralnie wyszarzanych śpiewaczek kupletowych z nad modrego Dunaju... Smutnie i upokarzająco!

* * *

Od naszego korespondenta z Wiednia, który teraz do Lwowa przyjechał i po drodze zatrzymał się w Krakowie, otrzymujemy sprawozdanie o najnowszych pracach naszych artystów. Jest od pewnego czasu jakiś prąd niczem niepowstrzymany, który naszym artystom każe na coraz wyższe wchodzić wyżyny; istnieje on już od dawna, lecz zamiast słabnąć, wzmaga się coraz bardziej. Za to się też cześć należy naszym pracownikom na polu sztuki.

Oto są słowa korespondenta:

Nad brzegami modrych fal Dunaju, w stolicy walca, sztuka polska codzień prawie szersze koło roztacza. I jak poprzepnio donosiliśmy o postępach naszych artystów, tak i dziś z przyjemnością przychodzi nam zanotować wiele nowych dowodów pracy i talentu naszego ścieśnionego zastępu polskich malarzy. Pod tym względem palmę pierwszeństwa oddać tu należy, zaszczytnie z dzieł swych znanemu (Acernus, Mnich, Skąpiec) malarzowi p. W. Leopolskiemu. Obraz jego rozpoczęty „Karol V.“ przedstawia nam cesarza jako starca w klasztorze, gdzie jak wiadomo mocarz ten ostatnie dwa lata życia swego przebył. Obraz to kolosalnych rozmiarów, bo treść tego wymaga. Nie przedstawia on bowiem ani jakiejś chwili historycznej, ani historyczno-rodzajowej ulubionej p. Leopol. sceny. Artysta chciał przedstawić wiek cały. Oś główna dzieła tego spoczywa w charakterystyce, z czego się, jak dotychczas sądzić można, p. Leopol. znakomicie wywiązał. Z pełnem zadowoleniem podziwialiśmy w zaczętej pracy tak linie, kompozycją jak i charakterystykę osób, przez którą jednak rysunek nieco cierpieć musiał. Żywimy jednak nadzieję, że znakomity kolorysta w następnem stadium obrazu zrównoważy te niedokładności.

Obok tego płótna wielkich rozmiarów zachwyceni byliśmy zaczętym portretem znanej osobistości p. M. B. Świetność kolorytu, pyszna karnacja, harmonija tła do głowy, nie pozostawia nic do życzenia, chyba tylko równie pysznego wykończenia. Młody i pełen talentu p. Tadeusz Rybkowski wystawił w Künstlerhausie dwie piękne akwarele, przedstawiające sceny z życia ludowego, w których sobie upodobał; jednak na szczególniejszą wzmiankę zasługują dwa milutkie jego obrazki zatytułowane Targami. Prawdziwe to małe pieścidełka, z których jedna przedstawia targ na garnki, drugie targ na buty. Wzięto to żywcem z dni żywota małego miasteczka. Koloryt, układ jak i charakterystyka wyborne.

Na uboczu od gwaru i krzyku brukowego wysoko, bo aż na czwartem piętrze, zawiesił swe gniazdko p. Sidorowicz, sympatyczny artysta-malarz. Któż nie zna pędzla zdolnego i płodnego tego artysty, któż patrząc na jego śliczniutkie widoczki, nie potrafił odczuć tej spokojnej, błogiej natury, tę poezję malowaną.

Jego małe widoczki to arcydzieła w swoim rodzaju, to liryka pełna ciepła i duszy. O ile jednak zachwycamy się jego obrazami mniejszych rozmiarów, o tyle odradzamy zdolnemu temu artyście malowania obrazów szerszych rozmiarów, do których mu ani koloryt ani siła tonu niedopisują.

Na malarza szerokiego stylu, na znakomitość i gwiazdę sztuki polskiej, zakrawa dzisiejsza perła Akad. wiedeńskiej, młody Krakowianin, p. Krudowski. Pełen talentu i zamiłowania młody malarz w wystawionym w Krakowie obrazie Św. Cecylji dał się nam poznać jako artysta poważnie myślący, doskonale umiejący rysować i obdarzony prawdziwie wyższym polotem ducha. W pracowni jego oglądaliśmy przepyszny szkic do większych rozmiarów obrazu przedstawiający „Pochód z Golgoty“, którego pełen powagi układ jak i koloryt zapowiadają dzieło niepoślednie. Na tej drodze sztuki poważnej najczystszego piękna, życzymy panu Krudowskiemu jak najlepszego powodzenia.

Wpysznych salach Krak. wystawy sztuk piękn. jak i w całym artyst. świecie Krakowa panuje ruch niezwykle ożywiony. Przed kilku jeszcze dniami oglądaliśmy na wystawie większych rozmiarów szkic Dyr. Matejki przedstawiający „Grzmisławę w więzieniu“. Rozbierać i krytykować dzieło genialnego mistrza, byłoby może zatrudnem zadaniem. Niech nam jednak wolno będzie pomówić o pewnym zwrocie w kierunku artystycznym autora Unii i Stańczyka. Wdzisiejszych utworach mistrza krakowskiego darmo szukać by trzeba tej pełni spokoju jaka wieje z obu wyż wymienionych obrazów. W ostatnim utworze, spokojna, pełna prostoty linja rysunku, przemienia się w zbyt krótką, rwącą się linję. Widocznie mistrz zbyt gorąco a krótko pracował nad dziełem, bo w przecudnej grupie Grzmisławy z synem na kolanach coś w rodzaju Pietà, uderza nas nawet brak proporcji. Chłopak wstawszy, byłb { jeśli nie większym, to przynajmniej równego wzrostu z trzymającą go na kolanach matką. Dodać do tego należy ciężkie i nieproporcjonalne ręce, które jednak same dla siebie są arcydziełami. Obraz ten powiózł pan Unger na swoją wystawę do Warszawy.

Oprócz genjalnego i niezmordowanego Matejki darmo szukaliśmy nowych prac poważnego grona artystów krak. Ani jeden z Szan. gremium prof. szkoły sztuk pięknych nie zaprezentował się na dzisiejszej wystawie. Idźmy więc dalej, zwróćmy się do młodszych, którym dzielnie tu hetmani p. Witold Pruszkowski.

Ostatni utwór jego „Anhelli“ obraz prawie naturalnej wielkości liczną gromadzi publiczność i liczne a różne krytyki wywołuje. Trzeba rzeczywiście wielkiej podniosłości umysłu i odrębnego nastroju ducha, aby się odważyć temu cudownemu poematowi, tchnienie którego unosi nas w kraj duchów i sklepień lodowych, dać zejść z krainy poetów na ziemię, przenieść na płótno. Anhelli p. Proszkowskiego nie jest bynajmniej ilustracją do jakiegoś rozdziału cudownego poematu, ale też co najmniej jest obrazem, który sam przez się jest zrozumiałym. Nie stworzył on w tym, ani przewodniej idei Anhellego ani go też nie streścił; obraz jego pod względem pojęcia i przedstawienia rzeczy znakomitą byłby kartą tytułową do wzmiankowanego poematu. Dzieło to po za kres ilustracji dalej nie sięga. Ekscentryczny poemat Słowac-

kiego zmusił tak że artystę do ekscentrycznego kolorytu, który nadaje właśnie obrazowi to pewne oderwanie] od ziemi i łączy nas z poematem. Zimny, niebieski prawie śnieg tworzy przedziwny kontrast z płonącem morzem zorzy północnej. Dwa te odrębne kolory spotykają się i koncentrują na martwem ciele Anhellego, nad którem zapłakał przejrzysty jenjusz. Figura ta doskonale pomyślana i wyrysowana, jest najszczęśliwszą częścią całego obrazu.

PODRÓŻ NORDENSKJÖLDA.

Jedno z największych dzieł żeglarskich zostało w naszym wieku dokonane.

Nordenskjöld opłynął Azję od Północy, i rozwiązał w ten sposób zadanie, tak dawno już będące przedmiotem wielkich zabiegów i nadzwyczajnych wysiłków różnych narodowości.

Zanim o tej podróży w całości damy sprawozdanie, podajemy dziś wyjątek z listu Nordenskjölda opisujący caloroczną prawie leżę zimową wśród lodów i powrót przez cieśninę Behringa do Japonji.

Oto są jego słowa:

Nasza przystań zimowa znajdowała się na północnej części azjatyckiego pobrzeża cieśniny Beryngskiej, na 67° 7' północnej szerokości i 173.5' zachodniej długości od Greenwich. Pobliski ląd stanowi rozległą, nieco pagórkowatą powierzchnię, na południu otoczoną dalekiemi stopniowo wznoszącemi się grzbietami gór, które dalej nieco wedle zeznań tuziemców mają dochodzić do znacznej wysokości. Płaszczyzna otoczona jest po większej części rozległemi lagunami, oddzielonemi od morza przez niskie piaskowe wały, narzucone uderzeniem fal i lodów.

Za naszem przybyciem ziemia była zamarzniętą i pokrytą szronem, lecz pozbawioną śniegu, tak, że nasi botanicy mogli wyrobić sobie pojęcie o dotychczas nieznanej florze tej okolicy. Blisko pobrzeża znajdowały się gęste zagony Elymosu urozmaiczone znaczną ilością rośliny zwanej *Helianthus peploides*. Dalej ciągnęła się ziemia jałowa żwirowata. Ku południowi dostrzegliśmy okolicę otoczoną lagunami i jeziorkami, których brzegi pokryte były gęstym kobiercem traw. Dopiero na wzgórzystym lądzie, gdzie pokłady brunatnego wapna wytworzyły bogatszą ziemię od piaszczystych wałów usypanych przez morze, wegetacja bardziej jest urozmaiconą. Tu rosły w lecie, wnosząc po wysuszonych i zamarzniętych pozostałościach wegetacyjnych, różnego rodzaju jagody, jak żórawiny i t. p.

Na nieprzyjemnych płaszczyznach piaszczystych, oddzielonych od morza lagunami, znajdują się dwie czukczuckie wioski. Jedna leżąca bliżej dawnej przystani zimowej *Vegi* nazywa się Pitlekaj. Składała się pierwotnie z siedmiu chat, wskutek zaś braku żywności mieszkańcy tutejsi przenosili się stopniowo, ostatni w miesiącu lutym, w okolice obfite w ryby blisko cieśniny beryngskiej. Podczas tego przesiedlania się zabierano z sobą tylko to, co niezbędne, gdyż zamierzono w porze myśliwskiej wracać do Pitlekaj. Druga kolonia, Iinretlen, mieści się bliżej zatoki Koliuczyńskiej i za naszego pobytu również liczyła siedm chat, których mieszkańcy lepiej zdawali się być zaopatrzonymi niż pitlekajscy. W czasie jesieni mieli lepszy połów, obfitsze zgromadzili zapasy i dla tego niektórzy tylko na zimę ją opuszczali. Dalsze kolonie znajdowały się wprawdzie w większej nieco odległości od naszych leż zimowych, jednakże mieszkańce ich bardzo często nas odwiedzali: Pidlin, na wschód od zatoki Koliuczyńskiej o czterech chatach; Koliuczyn na wspomnionej wyspie chat dwadzieścia pięć; Ryraitinop, sześć kilometrów od Pitlekaj, dziesięć chat, z których w lutym, pozostało tylko sześć. Mieszkańcy pozostałych chat poszukiwali w zimie lepszej miejscowości do połowu ryb i bardziej na wschód położonej.

Trudno obliczyć, ile w każdym domku mieściło się osób; gdyż czukczowie wciąż wzajemnie się odwiedzali na pogawędkę. Przecięciowo przyjąć można 5 do 6 osób na chatę. Doliczywszy mieszkańców wyspy Koljuczyn liczba czukczów w pobliżu naszej przystani zimowej wynosiła około 200 ludzi.

Gdy lód nas otoczył, okazał się on w pobliżu pobrzeża tak słabym, iż z trudnością zdołałby utrzymać jednego człowieka. Wielką więc była trudność przedostania się z lądu na nasz statek przy pomocy środków, jakiemi czukczowie rozporządzali. Gdy nas czukczowie po raz pierwszy ujrzeli, powstał wielki ruch między nimi. Mężczyzni, kobiety, dzieci i psy— wszystko biegało skwapliwie nad brzegiem. Obawiali się widocznie, aby nie stracić wybornej sposobności dostania sposobem zamiany wódki i tytoniu. Usiłowano kilkakrotnie wysadzić łodzie, nareszcie udało im się wysunąć na wodę wolną od lądu, prowadzącą wprost do naszego statku łódź napełnioną mężczyznami i kobietami, bez względu na widoczne niebezpieczeństwo wskutek przeciążenia.

Pierwsze to spotkanie wywołało obustronną radość, tworząc sposobność do zawiązania życzliwych stosunków między czukczami a nami, które też utrzymały się niezmiennie przez cały czas naszego między nimi pobytu. Wieść o przybyciu zadziwiających cudzoziemców rozbiegła się bardzo szybko. Wkrótce też, odwiedzili nas mieszkańcy najodleglejszych wiosek i *Wega* stała się miejscem wypoczynku, na którem każdy przejeżdżający swym psim zaprzęgiem zatrzymywał się kilka godzin. Chodziło im nietylko o zaspokojenie ciekawości ale i o otrzymanie towarów, cieplej strawy, tytoniu i *rumu* (wódka w języku czukczów). Jakkolwiek częste i liczne były ich odwiedziny nie zauważyliśmy, aby nam coś zginęło! Lud ten odznacza się podobnąż uczciwością jak lapończycy. Natomiast wkrótce zaczęli się nam naprzykrzać żebraniną. Niemniej usiłowali przy zamianie produktów wyciągnąć z nas wszelkie możliwe zyski. Drobne oszustwo uważają czukczowie widocznie jako pewnego rodzaju godną pochwały zręczność. Często np. sprzedają parę razy jeden i ten sam przedmiot i skorzy są do obiecanek, których niedotrzymują. Raz znowu sprzedali nam zająca odartego ze skóry bez nóg i głowy. który następnie, okazał się lisem; to też komicznem było ich zadziwienie, gdyśmy ich o oszustwie przekonali.

Zupełna nieznajomość pieniędzy u czukczów i nieznaczny zapas towarów zamiennych któreby odpowiadały ich gustowi zmusiła nas do utrzymywania części naszych wyrobów w wysokiej cenie. Zwykłych przedmiotów handlu krajów podbiegunowych skór: i słoniny wcale nie kupowaliśmy, ku wielkiemu zdziwieniu miejscowej ludności. Natomiast nabyliśmy drogą zamienną zupełny zbiór broni, odzieży i sprzętów domowych. Wszystkie podobne zbiory zostały wyłącznie na rachunek ekspedycji nabyte, gdyż w ogóle zbieranie przyrodniczo-historycznych i etnograficznych przedmiotów dla celów prywatnych było zupełnie zabronionem.

Czukczowie zasmakowawszy w naszych potrawach, wydobywali, zwłaszcza gdy łowy ich chybiły, wszelkie możliwe kości wielorybie na brzeg, które u nas na chleb zamieniali. Przy podobnej sposobności płaciliśmy za furę drzewa dwa do trzech okrętowych sucharów czyli około 250 gramm chleba. Kucharz nasz stał się ich patronem opiekuńczym, od którego w zamian za różne usługi otrzymywali większą połowę pozostałego jadła.

W czasie zimy rozdzielono między nich tak znaczną ilość pokarmów, że w znacznym stopniu przyczyniliśmy się do ulżenia ich głodu, który groził ludności miejscowej, w czasie najniższego natężenia zimowej pory. Między ludnością zamieszkałą obok naszej zimowej przystani nie było ani jednego chrześcijanina. Żaden z nich nie mówił językiem europejskim; co najwyżej ten i ów znał kilka wyrazów angielskich i pozdrowienia w języku rosyjskim. Była to okoliczność nader nieprzyjemna, która nam wiele przysparzała trudności; to też porucznik Nordquist postanowił poznać ich język, a przystąpił do rzeczy z taką skwapliwością, że po upływie kilku tygodni mógł się z nimi porozumieć. Mam nadzieję, że porucznik Nordquist powróciwszy do kraju nie omieszka opublikować obszerniejszego słownika tego mało znanego języka i wskazówkę jego gramatycznej budowy.

Czukczowie pewnego razu po obfitym połowie na morzu oddali się wypoczynkowi wedle przyjętego w podobnych razach zwyczaju. Spostrzeżono też wtedy 45 morskich psów (*phoca hispida*) w jednej chacie, prócz całych stosów połciów słoniny, które pod ścianami poukładano. Dzieci, które w ciągu ostatnich tygodni bardzo schudły, poczęły szybko nabierać ciała, a toż samo zauważono u starych osób. Pokład naszego statku stanowił miejsce zebrania dla całych zastępów mężczyzn, kobiet i dzieci. Wiele z nich spędzało tu większą część dnia przy temperaturze 40 stop. Celzjusza. Jakkolwiek nie czuli już niedostatku, z chciwością jednak garnęli się się do europejskich potraw. Prócz wielu innych etnograficznych przedmiotów, uzyskałem w zamian za jadło proste rysunki, rzeźby z kości i wzory, które znaczne rzucają światło na sztukę imitacyjną i smak ludzi należących jeszcze prawie do epoki kamienia. Różne sprzęty kamienne używane są do dziś przez czukczów. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną wynaleźć punkt wyjścia do osądzenia paleontologicznych rysunków, które w ciągu ostatniego dziewięciolecia tak wielką zwróciły uwagę w świecie uczonym.

Dnia 6. października rano złożył nam wizytę naczelnik czukczów Wasili Menka. Był to mały brunet o wychudłej twarzy, odziany w piękny biały reniferowy kożuch, z pod którego wyzierała niebieska flanelowa koszula. Aby od razu zbudzić w nas poważanie dla siebie, zajechał jeszcze po niezupełnie pewnym lodzie w saniach ciągnionych nie przez psów, ale przez własnych jego poddanych. Po przybyciu przedstawił nam natychmiast dyplom swej godności i różne inne świadectwa, że opłacił wszelkie podatki złożone z kilku czerwonych futer lisich, wartujących po rs. 1 kop. 80 sztuka i kilku białych po 40 kop. sztuka.

Czytać i pisać naczelnik ów nie umiał, zaś język rossyjski znał słabo i trudno go też było zrozumieć, natomiast szybko zrozumiał znaczenie mapy, na której z wszelką pewnością wskazał nam znaczną liczbę godnych uwagi miejscowości znajdujących się w północno-wschodniej Syberji. O monarsze rosyjskim nie miał pojęcia ów pierwszy dygnitarz tej miejscowości; wiedział jednakże, że bardzo wpływowa osobistość rezyduje w Irkucku. Z początku bardzo skwapliwie żegnał się znakiem krzyża wobec niektórych fotografji i miedziorytów, które znajdowały się w kajucie, przestał jednakże się żegnać zauważywszy, że my tego nie czynimy. Menka miał do usług dwóch bardzo prosto odzianych mężczyzn, odznaczających się bardzo skośną budową.

Słudzy ci zaraz po przybyciu ofiarowali nam

jako dar powitalny dwie pieczenie reniferowe. W zamian za to dałem mu wełnianą koszulę i kilka paczek tytoniu. Menka opowiadał, że nazajutrz udaje się do Markowy, miejscowości zamieszkanej przez Rossjan nad rzeką Anadyr w pobliżu starego Anadyrska. Jakkolwiek nie straciłem nadziei wydostania się z lodu w jesieni, jednak chciałem skorzystać z tej sposobności, aby do domu przesłać wiadomość o położeniu i stanie *Vegi*. Napisano więc list w języku rossyjskim z prośbą do generał-gubernatora w Irkucku, aby osnowę listu owego zakomunikował szwedzkiemu królowi Oskarowi. Równocześnie umieszczono kilka prywatnych listów między deszczułki i wszystko to powierzyliśmy Mence z napomnieniem, aby korespondencję doręczył władzom rossyjskim w Miakowie. O ile mi wiadomo listy owe doszły do właściwych osób.

Następnego południa odwiedził nas znowu wielki ów uczony przywódzca czukczów, przy czem nowe zamieniono podarki. Przyjęliśmy Menkę bardzo serdecznie, który na ostatku puścił się w tany poczęści solo, po części w gronie swych towarzyszy, ku wielkiej radości obecnych europejczyków i azjatów.

W czasie naszych zimowych leż — dowiedzieliśmy się od czukczów, że na południe od wschodniego przylądka żyje plemię pokrewne z eskimosami, które dawnemi czasy zamieszkiwało cały półwysep. Gdyśmy ostrożnie popłynęli w okolice wschodniego przylądka śród gęstej mgły, ucieszyliśmy się niewymownie, spostrzegłszy skórzaną łódź z 20 lub 30 tuziemcami. Gdy jednakże ludzie ci dobili do brzegu, przekonaliśmy się, że to byli starzy nasi znajomi, którzy nas odwiedzili jeszcze w naszych zimowych leżach i zawiadomili nas, że *Ankalów*, (wspomniane plemię) spotkamy poniżej zatoki św. Wawrzyńca. Mianem Ankalów oznaczają reniferowi czukczowie pobrzeżnych czukczów. Co zaś do eskimosów, jeśli ci kiedykolwiek kraj ten zamieszkiwali, to chyba w zupełności narodowość swą zatracili, gdyż w ciągu ostatniego pół wieku ztamtąd ich nie wyparto.

Zaznaczyć tu wypada kilka zajmujących etnograficznych szczegółów, gdyż twierdzenie o przybyciu eskimosów do Ameryki z Azji polega na przypuszczeniu, że całe azjatyckie północno-wschodnie wybrzeże zamieszkane było niegdyś przez eskimosów. Aby uniknąć nieporozumienia — powiada dalej Nordenskjöld — dodam, że wedle wiarogodnych rosyjskich źródeł prawdziwe plemiona eskimosów dotychczas jeszcze mieszkają nad ujściem Anadyru i że angielscy pisarze błądzą utożsamiając eskimosów z czukczami pod względem ich pochodzenia. Porucznik Nordquist z wielką skwapliwością dokonał zbioru wyrazów czukczońskich w liczbie około 1000. Niedziwiłbym się wcale, gdyby filologowie ze słowniczka Nordquista wykazali, że język czukczów bardziej jest pokrewny z językiem jednego z irańskich ludów, niż nareszcie któregokolwiek z innych azjatyckich lub amerykańskich podbiegunowych ludów. Mimo podobieństwa sprzętów domowych czukczów i eskimosów, co pochodzi z podobieństwa zwyczajów, nie można między niemi dopatrzeć się związków jednoplemiennych.

Z powodu znacznej masy lodu trudno nam było dłużej się zatrzymać w zatoce św. Wawrzyńca, to też spocząwszy przy wiosce Nunamo puściliśmy się dalej 21 lipca, po południu. Między górą a morzem znajdowało się 50—100 stóp wysokości mające pobrzeżne wzgórze, na którem widniało około 10 chat i roślinność niezwykłej bujności.

Bok góry miejscami pokryty był śniegiem a z jego szczytu widać było wyraźnie kry płynące w cieśninie beringskiej od strony Azji. Dr. Stuxberg wdarł się na wierzchołek pobliskiej góry, gdzie znalazł ciało tuziemca umieszczone w grobie kamiennym wedle zwyczaju czukczów. Obok trupa leżał połamany karabin perkusyjny, lanca, strzała, gwizdawka, krzesiwo, parasol od śniegu i inne sprzęty potrzebne nieboszczykowi w przyszłem życiu wedle przekonań tuziemców. Ciało to leżało w tem miejscu przynajmniej od roku. Gwizdawka należała do rodzaju niezliczonych holenderskich glinianych świstawek, które przedtem już rozdzieliliśmy między czukczów; złożono ją tu widocznie znacznie później od innych sprzętów.

Budowa chat w Nunamo tem głównie różni się od poprzednich, że krokwie wiązano tu kośćmi wielorybiemi; z tegoż samego materjału były różne domowe sprzęty.

Przed drzwiami chat leżały znaczne stosy świeżych zielonych gałązek wierzby, otoczone kobietami i dziećmi, które chciwie zajadały liście. W innych miejscach nagromadzono całe worki ziół na zapasy zimowe. Niesłusznie więc utrzymują, że czukczowie są ludem żyjącym wyłącznie zwierzyną.

Z Nunamo skierowaliśmy się ku portowi Clarence po amerykańskiej stronie cieśniny Beringa. Dnia 22 czerwca zarzuciliśmy kotwicę. Port Clarence jest wielką doskonałą przystanią tuż od zachodniego wierzchołka Ameryki. Była to pierwsza prawdziwa przystań, do której *Vega* od 18 sierpnia poprzedniego roku wpłynęła.

Dotychczas wystawioną była ona w przystaniach wciąż na burze i uderzenia bałwanów. Port Clarence oddzielony jest od morza żuławą; na północ od tej ostatniej znajduje się obszerny wjazd. W samej przystani rzeka znajduje swe ujście, która nieco dalej śród lądu tworzy małe jezioro. Góry znajdujące się w głębi wznoszą się do wysokości dwóch lub trzech tysięcy stóp; w niektórych dolinach do których słońce nie ma przystępu śnieg jeszcze leżał. Sądziłem, iż znajdę tu pozostałości dawnych gleczerów, lecz zawiodłem się; również nie spostrzegliśmy tu przedpotopowych resztek ze świata roślinnego i zwierzęcego.

Ledwie zdołaliśmy zarzucić kotwicę, gdy nadbiegło kilka kobiet, mężczyzn, dzieci i psów. Ludzie ci należeli do plemienia eskimosów i zupełnie nie znali języka czukczów. Poznaliśmy tam czukczonkę, która zawiadomiła nas, że prawdziwe plemię czukczów mieszka między Barrow a przylądkiem ks. Walii. Niektórzy mężczyźni rozumieli nieco po angielsku a jeden znich zwiedził parokrotnie San-Francisco i Honolulu. Większość tuziemców mieszka w chatach zbudowanych z materjału bawełnianego; niektórzy używali europejskie odzieży. Kobiety miały twarze tatuowane. Mężczyźni nosili wąsy, niektórzy zupełne brody; inni znów pod kątami ust mieli duże na 6—7 milimetrów wielkości dziury, z których widniały kawałki szkła, kości i kamieni. Jedna z młodych dziewcząt miała otwór w ścianie nosowej, w której błyszczała wielka niebieska perła.

Od północnej strony przystani natrafiliśmy na ślady europejskiej lub amerykańskiej szmelcowni tranu. Niedaleko ztąd znajdowały się dwa grobowce eskimosów. Ciała leżały na otwartem polu zapełnionem z tego powodu licznemi kijami wbitemi w ziemię. Przy jednym z trupów zauważyliśmy nabitą dubeltówkę, innym brań, krzesiwo, odzież, trzewiki, puhar, z drzewa rzeźbione robaki.

Ręce i nogi tuziemców odznaczają się drobnemi kształtami; większą odznaczają się oni czystością od czukczów a w chatach ich większy panuje porządek i ochędóstwo.

Jako dowód przemyślności amerykanów w zachwalaniu swych towarów wspomnieć muszę, że podczas pobytu naszego w przystani pewien eskimos przybył do naszego statku i pokazał nam kawał zadrukowanego papieru z anonsem, w którym jakiś dom handlowy w San-Francisko poleca *Sporting gentlemen in Beringssand* swoje zapasy wybornego myśliwskiego śrótu.

Podobnie jak po europejskiej tak też i po amerykańskiej stronie zachodniego wybrzeża przepływa ciepły prąd morza, czyniąc znacznie łagodniejszym klimat niż na wybrzeżu azjatyckiem, w pobliżu leżącem. To też granica drzew sięga w północno zachodniej Ameryce daleko ku północy, podczas gdy półwysep czukczoński prawie zupełnie jest nagi. Wprawdzie i przy forcie Clarence wybrzeże jest nagie, lecz posuwając się o kilka kilometrów w głąb, znajdujemy krzaki łokciowej wysokości a po za pobrzeżnemi górami muszą być prawdopodobnie lasy. Porost roślin był wogóle bardzo bujny i często nam przypominał skandynawską naszą północ. Zwierząt lądowych i ptastwa bardzo tu niewiele.

Dnia 26 lipca o 3 po północy *Vega* ruszyła z miejsca przy pięknej pogodzie i powiewu przyjaznego wiatru. Popłynęliśmy ku cieśninie *Senjawina*, leżącej między kilkoma większemi wyspami a półwyspem czukczów. Wciągu tej podróży kilkakrotnie zanurzyliśmy ołowiane puszczadło celem zaczerpnięcia wody i przekonania się o jej głębokości i solnej zawartości morza w tem miejscu.

Dnia 31 lipca dotarliśmy w Azji już do wyspy św. Wawrzyńca, gdzie zarzuciliśmy kotwicę. Wogólności masy lodowe ciągnące się od morza podbiegunowego przez cieśninę beringską są nieznaczne a główne masy lodu, którego się napotyka po stronie azjatyckiej na wiosnę, powstają widocznie nad wybrzeżem.

Dnia 2 sierpnia popłynęliśmy dalej, kierując się z początku ku wyspie Karagińsk. nad wschodniem wybrzeża od Kamczatki, aby tam poczynić niektóre obserwacje; wszelako wiatr przeciwny zmusił nas do porzucenia tego zamiaru. Skierowaliśmy się przeto ku wyspie beringskiej, nad której północno-zachodniem wybrzeżem zarzuciliśmy kotwicę dnia 14 sierpnia.

Wyspa beringska tem się mianowicie wsławiła, że podróżnik Behring po ostatniej swej nieszczęśliwej podróży na wodach noszących jego nazwę d. 19 grudnia 1841 r. zakończył swoje naukowe obserwacje wkrótce po uderzeniu o skały jego statku podczas burzy w stronie północnej od wyspy.

Dnia 19 sierpnia wieczorem opuściliśmy znowu wyspę Behringa a 2 września wieczorem zarzuciliśmy kotwicę w przystani Yokohamy.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** O projektowanej „Maticy" następujących dowiadujemy się szczegółów. Fundusz tej instytucji w kwocie rs. 10.000 jest już stanowczo zapewniony, chociaż zrealizowany być może dopiero po upływie roku. Czas to już stosunkowo niedługi i jeśli może na przygotowaniach do uorganizowania przedsięwzięcia. Prócz tej kwoty są też obiecane dwie sumy: jedna 10,000 talarów, druga 20,000 rubli. Choćby jednak te dwa ostatnie źródła zawiodły, można już będzie rozpocząć dzieło z pierwszym tylko funduszem. Wszak i czeska „Matice" zaczynała zaledwo z 4,000 złr., ofiarowanemi przez hr. Kińskiego, a dziś posiada już przeszło 100,000 złr. nietykalnego funduszu żelaznego i wydaje corocznie 10,000 złr. na nowe edycje.

*** W tych dniach opuściły prasę drukarską „Poezje Izy". Jest to elegancki tomik wierszyków,

drukowanych przedtem po różnych czasopismach. Obszerniejszy rozbiór tych poezyjek podamy później.

⁂ W Warszawie, od 1 stycznia 1880 r. zacznie wychodzić co miesiąc zeszytami 5arkuszowemi słownik geograficzny królestwa polskiego i innych krajów słowiańskich i litewskich niegdyś w skład Rzeczypospolitej polskiej wchodzących.

Do dzieła tego wejdą:

1. Wszystkie miejscowości położone w Królestwie Polskiem.

2. Wszystkie ważniejsze miejscowości w guberniach nadbałtyckich, zachodnich i południowych cesarstwa rossyjskiego.

3. Miasta gubernialne, stacje pocztowe, telegraficzne i stacje dróg żelaznych w pozostałych guberniach Rossji Europejskiej.

4. Wszystkie ważniejsze miejscowości Prus zachodnich i Wschodnich, W. Ks. Poznańskiego i Szląska pruskiego ze szczególnym względem na słowiańskie nazwy miejscowości, dziś zniemczone.

5. Wszystkie ważniejsze miejscowości Galicji, Szląska austrjackiego, Morawy, słowackich komitatów Węgier, Bukowiny, także z uwzględnieniem dokładności w nomenklaturze okolic, które uległy wpływowi: germanizacji, madziaryzacji i romanizacji.

6. Dokładna hydrografia i orografia wymienionych powyżej krajów.

7. Wszystkie miejscowości będą opisane pod względem geograficznym, statystycznym, społecznym (szkoły, stosunki religijne, przemysł, komunikacje, handel), historycznym (założenie miejscowości, wypadki ważniejsze, przechodzenie z rąk do rąk) i archeologicznym.

⁂ Pisma warszawskie podają zajmującą i ważną wiadomość literacką o przygotowaniu do druku jednej z najpierwszych chronologicznie tragedyj polskich i to Stanisława Konarskiego, w pięciu aktach wierszem pod tytułem: „Epaminondas“.

„Epaminondasa“ napisał Konarski dla sceny, którą przy konkwikcie wielkim był założył (około 1745) i przez lat kilkanaście prowadził nietylko ku zabawie, ale i jako jeden ze środków wychowania młodzieży.

Budynek dla tej sceny wznosił się w podwórzu posesji kolegjum szlacheckiego, przy ulicy Miodowej, gdzie później aż do r. 1876 miał pomieszczenie wydział hypoteczny warszawski.

Na tej to scenie młodzież kształcąca się w konwikcie pijarskim w r. 1756 po raz pierwszy „Epaminondasa“ wystawiła i przez kilka lat następnych powtarzała przedstawienia.

Konarski tragedji swej nie wydał nigdy z druku; znano ją tylko z odpisów i dziś też tylko w odpisie utwór ten dochował się w bibljotece pp. Branickich w Suchej pod Krakowem, dokąd wszedł wraz z szacownemi zbiorami ś. p. Karola Łaskiego, niegdyś w Warszawie gromadzonemi.

Obecnie naukowy kierownik bibljoteki suskiej p. Fr. K. Nowakowski (o którym w przedostatnim numerze „Tygodnika illustrowanego“ p. Estreicher sympatyczne a sprawiedliwe wypowiedział słowo) postanowił przygotować „Epaminondasa“ do druku, przedmową go opatrzeć i oddać do jednego z wydawnictw ciągłych akademji umiejętności, która tak chętnie od siebie do wykonania myśli powziętej przez pana N. się przykłada, że może już w początkach roku przyszłego powszechność ludzi wykształconych otrzyma tragedję Konarskiego wydrukowaną.

W dodatku do powyższej wiadomości nadmienić musimy, że jeden z literatów warszawskich pracuje obecnie gorliwie nad dziełem o życiu i utworach wiekopomnego Stanisława Konarskiego.

Po znanej gruntowności i sumienności w pracach źródłowych autora, którego nazwiska jeszcze przed czasem zdradzać nie chcemy, spodziewać się należy, iż studjum o Konarskim wzbogaci naszą literaturę o jedną dobrą i możliwie wyczerpującą monografię więcej.

⁂ Dziełko hr. Uszyńskiego p. t. Człowiek jako przedmiot wychowania, próbka pedagogicznej antropologji, tłómaczonem jest z oryginału rossyjskiego na język polski.

⁂ „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza został obecnie przez niejakiego p. Łado przerobiony na tragedję w języku rossyjskim.

⁂ Lipska Deutsche Allgemeine Ztng uwiadamia, iż z dniem 31 grudnia przestanie wychodzić; Saksonja nie będzie odtąd miała swego codziennego liberalnego organu.

Nauka.

⁂ Mamy przed sobą projekt nowego pisma naukowego, które wychodzić będzie w Warszawie, począwszy od dnia 15go grudnia r. b.

Nosi ono tytuł: „Kronika lekarska“, dwutygodnik naukowy, poświęcony przeglądowi postępów nauk lekarskich.

Głównym redaktorem i nakładcą jest dr. W. Kosmowski, redakcję składają drwie: Dobieszewski, Gajkiewicz, Hering, Matlakowski, Mayzel i Nussbaum; współpracownictwa przyrzekli znani w świecie naukowym lekarze.

Żywy i ciągły ruch, jaki spostregać się daje na polu literatury lekarskiej, mnóstwo dzieł specjalnych w zakresie tej nauki czyni niepodobnem prawie dla lekarza praktykującego obeznanie się z postępem nauki i utrzymanie się ciągle na wysokości jej rozwoju.

„Z tych więc względów — pisze w prospekcie redakcja — za przykładem piśmiennictw obcych, zakładamy nowy organ lekarski polski, który ma być przeglądem prac i postępów w dziedzinie wszystkich gałęzi medycyny.

Główną część nowego pisma stanowić będzie dział sprawozdawczy, poświęcony streszczeniom ścisłym i objektywnym prac oryginalnych gdziekolwiek się ukazujących.

Dział ten, który zawierać będzie także krytyki i wiadomości bibljograficzne, nie wyłączy jednak prac oryginalnych istotną posiadających wartość.

Kronika bieżąca, korespondencje i sprawozdania z posiedzeń i zjazdów lekarskich dopełnią ram pisma, które, uznając jego pożyteczność, witamy serdecznem życzeniem powodzenia.

⁂ Pisma warszawskie zwracają uwagę inżynierów polskich, górników i mechaników na dzieło „Cyclopaedia of applied Mechanics“ (Encyklopedja praktycznej mechaniki), wykonane przez znakomitą firmę Appeltona w Ameryce.

Wychodzi ona zeszytami, a całość obejmie 24 zeszytów.

Wynalazki i systematy wyłącznie amerykańskie są w niem traktowane albo przez samych wynalazców, albo też przez pierwszorzędnych autorów w tej gałęzi wiedzy.

Najznakomitsi inżynierowie rzeczypospolitej, a pomiędzy innymi sławny Tomasz Edison, należą do redakcji tego dzieła.

Mówiąc o niem, pospieszam zanotować chlubny dla naszego narodu fakt, że w gronie tych sił pierwszorzędnych znajduje się także młody Polak, elew wszechnicy zurychskiej i współredaktor nowojorskiej „Railroad Gazette“ (Gazety kolejowej), p. Tomasz Krajewski, znany tak w Stanach Zjednoczonych jak w Kubie z ducha wynalazczego, poświęconego ulepszeniom ruchu kolejowego, lokomotyw, wagonów i td.

Dziś już, należąc do rzędu najlepszych autorów amerykańskich w rzeczach kolejowych, ma on świetną przyszłość przed sobą.

Artykuły poświęcone w rzeczonej encyklopedji drogom żelaznym są jego pióra, jak program tego dzieła dostatecznie dowodzi.

Sztuki piękne.

⁂ Na wystawie Warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych pomieszczone zostały w dniach ostatnich następujące obrazy:

Juljana Fałata trzy akwarele, a mianowicie: 1) „Strój z okolic Monachjum“ (studjum z natury); 2) „Wnętrze lasu w lesie“ i 3) Wnętrze lasu w jesieni“ hr. Łubieńskiej: „Portret (na porcelanie) hr. Krasińskiej“, Tytusa Maleszewskiego: „Portret mężczyzny“, Wojciecha Piechowskiego: „Kuźni“, Alek. Świeszewskiego: „Z okolic Nowego-Miasta nad Pilicą“.

Do salonu rzeźb przybyła świeżo grupa bronzowa, przedstawiająca Jana Kochanowskiego z Urszulką.

Wykonawcą jej jest Trembecki Zygmunt.

⁂ Salamon Awrach, takie jest nazwisko młodzieńca, który zjawił się temi czasy w redakcji „Izraelity“ i okazał się zbiór rysunków, portretów i kopij.

Panowie Tytus Maleszewski i Maksymiljan Fajans stwierdzają, iż Awrach udarowany jest wyższemi zdolnościami, godnemi poparcia i troskliwej opieki.

⁂ Znany obraz Józefa Chełmońskiego „Powrót z jarmarku w zimie“, znajduje się teraz w New-Jorku w salonie Kedlera, wspólnika paryskiego Goupila.

Płótno to jest powszechnie podziwiane i łatwo znajdzie tu kupca.

W innym salonie tejże stolicy znajduje się obraz Brandta.

Artysta nasz jest tu popularnym, a każda jego praca, zabłąkana za Ocean, najgoręcej jest witana.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Próbki erudycji niemieckiej.

Oto co pisze jedno z dość rozpowszechnionych pism belletrystycznych niemieckich „Deutsche Romanzeitung,“ z okoliczności wystawienia „Bitwy pod Grunwaldem“ Matejki w Berlinie.

„Nie chęć awanturniczego życia była pobudką do wojen zakonu krzyżackiego z Polską, jak to twierdzi autor małego pisemka sprzedawanego przy kasie wystawy obrazu, ale raczej święty obowiązek obrony krzyża przed pogaństwem, bo Polacy i Litwini jeszcze wtenczas chrześcijaństwa nie przyjęli.

„Autor owego pisemka, twierdząc, że chrześcijaństwo już dawno przed sprowadzeniem zakonu na wschód swój błogosławiony wpływ wywiera, zapomina, że Polacy dopiero w roku 1386 ze swym królem Jagiełłą chrześcijaństwo przyjęli.“

I cóż?

Lepszym jeszcze w swej erudycji jest niejaki „Arthur Prüsker k. k. Lieutenant,“ który w wydanem właśnie w Lipsku dziełku swem p. t. „Lexikon der bedeutenderen Schlachten, Belagerungen und Gefechte“, niestworzone wypisuje rzeczy o Kaliszu.

Dowiadujemy się ztamtąd, że w październiku 1672 roku Tatarzy pod wodzą Galgi i Nuredina oblęgali Kalisz i że zadał im walną klęskę pod tem miastem... Sobieski.

Komentarzy nie potrzeba!

⁂ Z Zanzybaru donoszą, iż handel niewolnikami chyli się całkowicie ku upadkowi, dzięki energicznej czujności stacjonującej tam floty wojennej.

Miss Edwards, młoda Angielka, złożyła z odznaczeniem egzamin lekarski na uniwersytecie paryskim.

⁂ Inżynier Lesseps naznaczył swój wyjazd do Panamy na dzień 6 grudnia; wsiądzie on na okręt w Saint-Nazaire i popłynie do Colon-Aspinwall, gdzie przybędzie 27 grudnia.

⁂ W Hamburgu bankructwo firmy J. Godefroy i spółka wstrząsnęło wielu domami handlowemi. Pasywa upadłej masy wynosić mają 15—20 miljonów franków. W służbie tej firmy zostawał też Jan Kubary, znakomity podróżnik polski, w charakterze ajenta i badacza przyrody na wyspach australskich.

⁂ Z Londynu donoszą, iż założone przez Leutnera towarzystwo, w celu wydobycia zatopionego roku przeszłego „Wielkiego Kurfürsta“, zamierza się rozwiązać, nie doprowadziwszy do końca rozpoczętego dzieła.

DWIE PRZEDMOWY.

Firma wydawnicza w Paryżu Callman Levy wydała w tych dniach dwie sztuki Aleksandra Dumasa, „Pana Alfonsa“ i „Cudzoziemkę“ — z przedmowami, które, jak zwykle tego rodzaju odezwy znakomitego dramaturga, tyle przynajmniej zajęły publiczność, ile same jego dzieła sceniczne.

Śmiałość i szczerość w wywodach, odwaga w stawianiu wniosków, zaimponowały wszystkim.

Aleksander Dumas staje naturalnie na gruncie życia społecznego, jako moralista rumieniący się po szyję na widok zdrożności i słabości tego świata.

W przedmowie do „Pana Alfonsa“ autor zwraca całą swoją miłość, troskliwość, cały patos—ku dzieciom nieprawym.

Zaczyna od opowiadania, jako zwierzęta lepsze są od ludzi, bo zwierzęta dbają o swoje małe i tylko w wyjątko-

wych razach, np. gdy je ściga człowiek, poświęcają małe, do których zresztą tkliwie są przywiązane.

Jeżeli pies jest najsympatyczniejszym dla człowieka zwierzęciem, to tylko dla tego, że większa część ludzi ma w miłości wielkie z psami podobieństwo.

Wogóle właściciel suki topi zwykle trzy czwarte jej szczeniąt, jeżeli ich sam nie potrzebuje lub rozdarować nie może, a matka nie wiele się o to troszczy.

Z nienawidzonym owocem wzbronionej miłości postępuje się jeżeli nie wprost tak samo, to przynajmniej niewiele lepiej.

Nie zabija go człowiek, ale nie bardzo się gniewa kiedy umrze...

Wśród różnych katastrof wynikających ze słabości ludzkich, jedna jest tylko istota prawdziwie litości godna, bo prawdziwie nieszczęśliwa.

W skutek niekonsekwencji, która jest istotnie koroną wszystkich wad naszego ustroju społecznego, na tę właśnie istotę słabą, niewinną, godną wszelkiej miłości, wszelkiego szacunku, wszelkiego miłosierdzia, na to małe stworzonko niezdolne do żadnej obrony, społeczeństwo rzuca się z prawdziwą dzikością, dla tego, że urodziło się w pewnych warunkach, za które odpowiadać nie może — tej istocie właśnie każą ludzie pokutować za winy rodziców.

Nawet prawodawca tak samo z nią postępuje,

„Ażeby dać życie ludzkiej istocie, mówi on w prawach swoich, potrzeba mężczyzny i kobiety.

„Jeżeli ten mężczyzna połączony jest z tą kobietą węzłami małżeństwa, uważam to za bardzo naturalne i bronić będę praw dziecka, nawet przeciw nim samym, gdyby tego było potrzeba.

„Jeżeli para żyje bez węzłów małżeńskich, wydaje mi się to bardzo niemoralnem.

„A kto w drugim wypadku najwinniejszym jest z trojga: ojciec, matka czy też dziecię?

„Zapewne że ojciec, który nie naraża się na żadne niebezpieczeństwo fizyczne lub moralne i nie ma innego celu, prócz ciekawości, żądzy zadowolenia zmysłów.

„Ponieważ jednak nie dźwiga żadnej odpowiedzialności moralnej, uwolnię go od odpowiedzialności materjalnej i społecznej.

„Bo jestem mężczyzną, a nigdy nie wiadomo co się komu przytrafić może.

„Od mężczyzny nie może nic wymagać ani kobieta, którą matką uczynił, ani dziecię, któremu dał życie.

„Pozostanie więc nieznanym i wolnym.

„Czy kobieta mniej jest winną od mężczyzny?

„Bez wątpienia.

„Bo mężczyzna, dążący do posiadania kobiety, wie zawsze jakie skutki czyn taki mieć może; gdy tymczasem kobieta, a szczególniej dziewczę oddające się mężczyźnie, nie zawsze wie o tem.

„Zresztą kobieta naraża się więcej, honor i życie stawia na kartę, a popełnionego błędu ukryć nie może ani udaniem, ani nawet gorszemi środkami. I to jej winę zmniejsza.

„Pozostaje więc dziecko, zupełnie niewinne, zupełnie bezbronne i przychodzące na świat bez żadnej opieki.

„A jednak jakież walki czekają tę niewinną, tę słabą, tę biedną istotę!

„Bo ja prawodawca, w to właśnie dziecko najsrożej ugodzę.

„Ty dziecię naturalne nie będziesz miało żadnych praw.

„Nawet gdy będziesz uznanem, o żadne prawa upomnieć się nie możesz.

„Uznano cię — ale gdy umrą twoi rodzice, a bracia ich, siostry, siostrzeńcy, siostrzenice dzielić się będą schedą, ty drobnostkę jakąś zaledwie otrzymasz.

„Jeżeli ojciec twój uznał cię i chce ci zostawić majątek, nie może tego zrobić, lecz musi pierwej innych krewnych odszukać.

„A jeżeli nie należysz do rodu męzkiego, jeżeli jesteś dziewczyną — pozostaje ci tylko samobójstwo lub prostytucja — rzeka albo trotuar“

Po całym szeregu podobnych wywodów czytamy dalej w przedmowie:

Wystawmy w sobie mężczyznę, kawalera, swobodnego, rozumnego i dobrego.

Spotyka on kobietę, która go prosi o radę, o opiekę, o pomoc.

Nie przyrzekał tej kobiecie nic, wczoraj nie znał jej jeszcze, ale zrozumie ją, dopomoże jej, sprobuje winną pokrzepić moralnie i będzie się strzegł, aby jej nie obrazić, aby nie zdradzić jej tajemnicy.

A teraz wyobraźmy sobie, że ten mężczyzna i ta kobieta złączeni są węzłem małżeńskim.

Kobieta żąda od mężczyzny rady i opieki; nie ma ani ojca, ani matki, ani krewnych, ani przyjaciół, ma tylko małżonka, który jej przysiągł przed Bogiem i przed ludźmi, że ją osłaniać będzie; a ona żałuje, ona mu wszystko wyznaje, błaga go o radę, o opiekę, o zbawienie swej duszy.

I cóż się dzieje?

Jakiż to gniew, jakie wyrzuty, jaki skandal! mężczyzna nie panuje już nad sobą: krzyczy, grozi, skarży, zbeszczeszcza, zabija!

Dlaczego?

Bo nie jest już mężczyzną — jest małżonkiem, a ta kobieta nie jest kobietą, lecz „jego“ żoną.

Ten sam człowiek, który wczoraj usprawiedliwiał u innych i rozumiał słabości natury ludzkiej, który i dziś pojmuje je i przebacza u kogo innego, który zresztą przebaczyłby je sobie samemu, ten człowiek nie rozumie ich w swojej żonie.

A cóż dopiero, jeżeli w takiem małżeństwie urodzi się dziecko i mąż nie może uważać się za ojca tego dziecka!

Prawo karze w takim razie, gdy mąż tego zażąda, występną żonę, a odtrąca dziecko — ale mąż niewierny, choćby mu nawet po za małżeństwem urodziło się dziecko, wolny jest od kary i prawo dosięgnąć go nie może.

Dlaczegóż prawo tak jest surowem dla kobiety, tak łagodnem dla mężczyzny? dla tego, że żona błądząc wprowadza do małżeństwa obce dziecię—a mąż nie.

Przypuśćmy—ale jeżeli już chcecie karać, ukarzcie kobietę która zawiniła; lecz za cóż karać niewinne dziecko? cóż wam dziecko uczyniło?

— Jestto żyjący dowód błędu, który męża o rozpacz przyprawia — odpowiada prawodawca.

— Ależ dziecko nic temu nie winne.

— Ani ja również!

— I cóż się z dzieckiem stanie?

— To mię nic nie obchodzi.

— Dla takich biednych istot nie ma żadnego schronienia.

— Tem gorzej...

— Więc dziecko umrze.

— Tem lepiej...

Takie myśli, między któremi wiele jest paradoksów, zapełniają przedmowę do „Pana Alfonsa“.

Autor oświadcza wreszcie, że jedynem rozwiązaniem węzła gordyjskiego jest to, które kończy samą sztukę.

Wiadomo, że bohaterka tej komedji uwiedzioną była przed zamążpójściem, przez swego krewnego, ostatniego nicponia.

Żona wyznaje błąd mężowi, oficerowi marynarki, który jej przebacza wzruszony wyznaniem i skruchą i przyjmuje dziecinę w dom.

Dumas zapomina w swoich deklamacjach o jednej okoliczności — że jest w tym wypadku coś gorszego od samego błędu — to jest nadużycie zaufania, które na tem polega, że żona, wiedząc o swoim błędzie, mimo to ofiaruje uczciwemu człowiekowi rękę, zdradza jego ufność, zwodzi go na stopniach ołtarza; że mężczyzna, oddawszy się całkowicie jest zdradzonym i że w takim razie przebaczenie nie tak łatwo mu przychodzi.

Można pojąć, można nawet wysoko cenić takt i wyrozumiałość obojga małżonków, wybaczających sobie wzajemnie winy spełnione w ciągu wspólnego pożycia — ale jest coś komicznego w sytuacji męża, który przebacza dowiedziawszy się, że już był oszukanym zanim został małżonkiem.

. . . .

Przedmowa do „Cudzoziemki“ jest stosunkowo mniej zajmującą.

Autor rozwodzi się w niej głównie nad obecnemi literackiemi sporami we Francji i nad nową szkołą „naturalistów“; Dumas opowiada zresztą, jak mu ciężko szło i jak to długo trwało zanim dla prac jego otworzyły się „klasyczne“ podwoje w „Théâtre Français“.

„... Każdy z nas musi mieć to przekonanie, że odważywszy się zebrać na jednem miejscu półtora tysiąca osób i żądając od nich uwagi przez dwie do trzech godzin, ma coś nowego do powiedzenia.

Często można przewidzieć, bardzo często wypada stwierdzić, że autor nie osiąga wytkniętego celu; jeżeli ma choćby tę pociechę, że spotrzebował na to swoje najlepsze siły, — to czuje przynajmniej zadowolenie, gdy mimo niedoskonałości jego dzieła, ten i ów odgadnie intencje autora.

Wreszcie pisarz byłby bardzo ograniczonym, gdyby przy całej staranności w wykończeniu swego dzieła, a nawet po wielkiem jego powodzeniu sądził, że osiągnął istotnie to, co osiągnąć pragnął.

Pani Sand pytała mię pewnego razu:

— Czy wykonałeś pan kiedykolwiek z zupełnem wewnętrznem zadowoleniem to, co ci w myśli powstało?

— Nie; a pani?

— Ja? nigdy.

W ostatnich latach swego życia ojciec mój mówił często do mnie:

— Odpowiedz mi otwarcie, czy myślisz, że po mnie cokolwiekbądź zostanie?

Tak będą kiedyś myśleć wszyscy ci, których dziś podziwia publiczność, jeżeli prawdziwie na ten podziw zasługują.

Trafnie myśleć, dokładnie spostrzegać — są to przymioty któremi nawet nie każdy talent poszczycić się może.

Jakże więc przy pomocy papieru i atramentu ująć w kształty stałe, niezmienne, to co się obmyśliło najgłębiej, obserwowało najbystrzej?

Nie twierdzę w tych przedmowach, tak jak nie utrzymywałem bynajmniej w poprzednich, że sztuki moje są podziwu godne, lub że nie zasługują na żaden z wywołanych zarzutów.

Poprostu gawędzę sobie z czytelnikiem, zaświadczam o mojej szczerości i dziękuję za wszystko co mu zawdzięczam.

Próbuję wyłuszczyć czytelnikowi to wszystko, czego by bez wyjaśnienia nie wiedział: słowem obok tych prac, które życie moje wypełniły i o których sądzić ma czytelnik, przedstawiam mu uczucia, wypadki i myśli towarzyszące ich narodzinom.

Jeśli go to bawi, niech czyta; jeżeli się znudzi, niech tę gawędkę opuści.

Nie żywię ani chimerycznej nadziei, ani przekonania wyniosłego a niedorzecznego, że potrafię zmienić cokolwiekbądź w ustroju otaczających mię stosunków.

Oddaję publiczności i na scenie i w pismach moich to, co mi się, wedle mego zdania, udało.

Nie myślę bynajmniej narzucić ogółowi społecznych środków leczniczych, oznajmiam o nich tak samo, jakbym ogłosił lekarstwo na podagrę, gdyby mi się zdawało żem je odkrył.

Być może, iż znajdują się lepsze myśli w dziedzinie moralności, estetyki i sztuki — ale ja chcę zostać przy swoich jakakolwiek będzie ich wartość i pewny jestem, że my, to jest czytelnik i ja będziemy zawsze dobrymi przyjaciółmi.

Pewnego razu słyszałem młodych muzyków, dowodzących z tą śmiałością i pewnością siebie, która jest cechą dwudziestego roku, że za lat kilkanaście nie zostanie ani śladu z dzieł Meyerbeera, Rossiniego, a nawet Mozarta, i że od tej chwili rozpocznie się epoka prawdziwej muzyki — muzyki przyszłości.

Nie mogłem się wstrzymać od wdania się w rozmowę.

— Czy wiecie panowie — rzekłem do młodzieńców — jaka muzyka będzie muzyką przyszłości? ta która w przyszłości zostanie.

W istocie, kto chce tworzyć arcydzieła, ten musi mieć jednego współpracownika, który nas wszystkich przeżyje — czas.

Żaden z nas umierając nie wie, czy rzeczywiście zostawił dzieło nieśmiertelne — jedynie potomność ma prawo wyrokować, rozstrzygać i sądzić, co jest zdatnem do życia.

A gdy pomyślimy nad tem, jaką miarę potomność przykłada do najznakomitszych arcydzieł przeszłości, wypadnie nam być bardzo, bardzo skromnymi“.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Wacławowi w Krakowie. Poezje *Czy pamiętasz?* i *nie budź mię*, nie mogą być drukowane w Tygodniu.

P. Zenonowi we Lwowie. Wiersz pt. *W album wnej. M. A.* nie będzie drukowanym w Tygodniu.

Treść Nr. 47.

	str.
Komedja z pomyłek. Szkic z życia amerykańskiego nepisał Litwos.	733
W Bałkanach. Opowiadanie z czasów ostatniej wojny wschodniej Karola Brzozowskiego. (dok).	735
Kto upraumiał niewolę chłopa? Napisał Ant. Mroczek.	736
Kronika naukowa, przez Br. Abakanowicza.	738
Prorok pogański. Wiersz, napisał Bogumił Aspis.	739
Ten mały. Powieść Alfonsa Daudeta przekład Wincenty Limanowskiej. (c. d).	739
Kronika tygodniowa.	743
Podróż Nordenskjölda.	745
Wiadomości z kraju i ze świata.	746
Dwie przedmowy.	747
Odpowiedzi Redakcji.	747

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.**